



ORMIAŃSKIE
TOWARZYSTWO
KULTURALNE

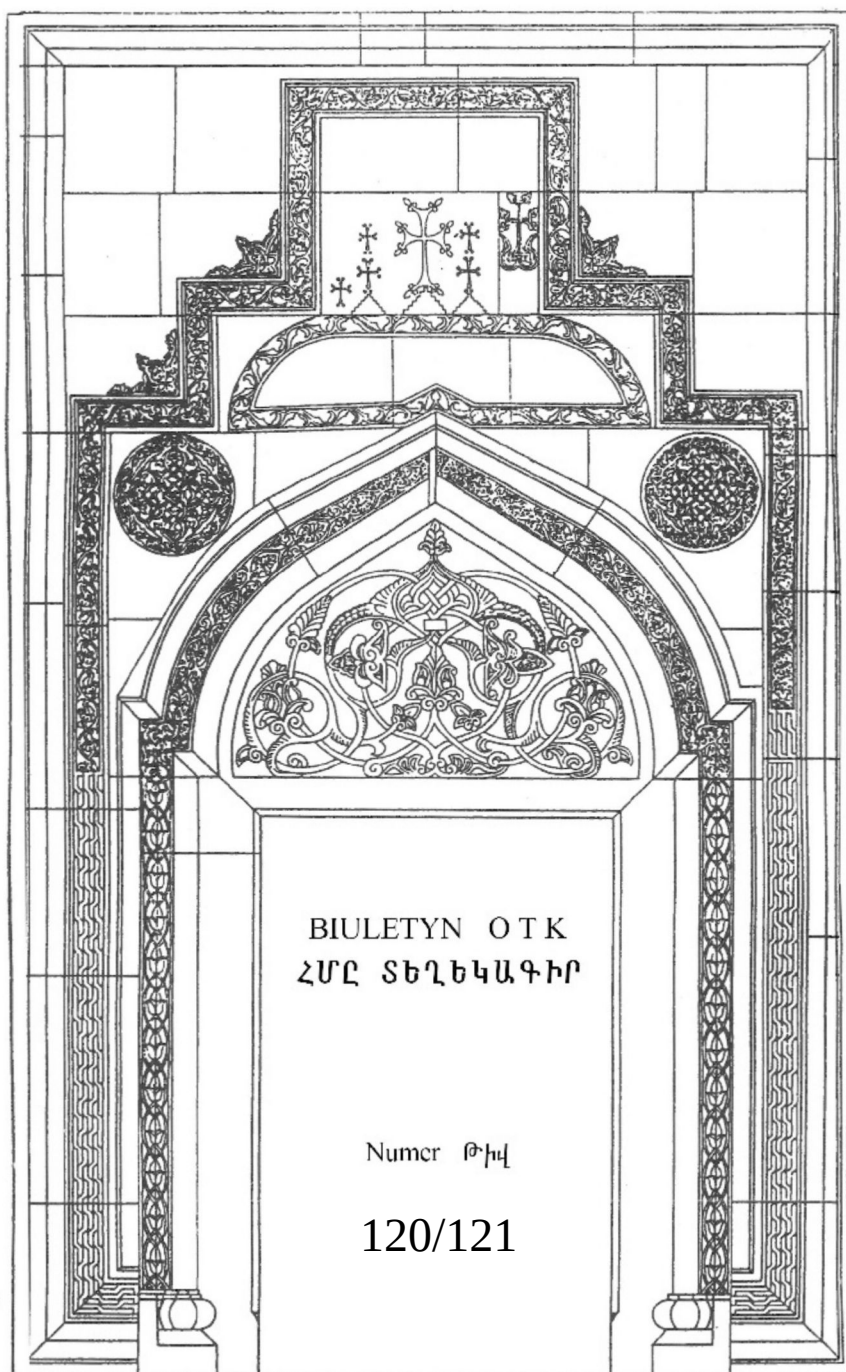
BIULETYN
ORMIAŃSKIEGO
TOWARZYSTWA
KULTURALNEGO

ՀԱՅ ՄՇԱԿՈՒԹԱՅԻՆ
ԸՆԿԵՐՈՒԹՅԱՆ
ՏԵԶԵԿԱԳԻՐ

ISSN 1233-8605

NUMER 120/121 ԹԻՎ

KRAKÓW 2025 ԿՐԱԿՈՎ



BIULETYN OTK
ՀԱՐՇ ՏԵՂԵԿԱԳԻՐ

Numer Թիվ

120/121

BIULETYN ORMIAŃSKIEGO TOWARZYSTWA KULTURALNEGO ՀԱՅ ՄՇԱԿՈՒԹԱՅԻՆ ԸՆԿԵՐՈՒԹՅԱՆ ՏԵՂԵԿԱԳԻՐ

W Biuletynie są publikowane relacje, wspomnienia, opinie, opracowania naukowe i inne utwory dowolnej formy, których tematyka jest związana z historią, kulturą i współczesnymi problemami Ormian i Armenii.

Copyright by Ormiańskie Towarzystwo Kulturalne – Kraków 2025

Materiałów zamieszczonych w Biuletynie OTK nie można w żadnej formie reprodukować bez pisemnej zgody Wydawcy.

Kolegium Redakcyjne	dr Tomasz Krzyżowski (przewodniczący) prof. dr hab. Krzysztof Stopka prof. dr hab. Andrzej Pisowicz dr hab. Andrzej A. Zięba dr Andrzej Gliński Kamil Gleń
Adres	Ormiańskie Towarzystwo Kulturalne ul. Studencka 2, lokal 3a 31–116 Kraków www.otk.org.pl otk@otk.org.pl
Konto bankowe	Bank Pekao 19 1240 4533 1111 0011 4825 0979
Projekt okładki	Monika Sutryk
Szata graficzna	Monika Sutryk
Skład	Jacek Kumański
Korekta	Edyta Glińska
Druk	Poligrafia Inspektoratu Towarzystwa Salezjańskiego ul. Bałuckiego 8, 30-318 Kraków
ISSN 1233-8605	nakład: 300 egz.

Zrealizowano dzięki dotacji Ministra Spraw Wewnętrznych i Administracji

Publikacja wyraża jedynie poglądy autorów i nie może być utożsamiana z oficjalnym stanowiskiem Ministra Spraw Wewnętrznych i Administracji.

Wstęp

Oddajemy w ręce Czytelników kolejny, podwójny numer „Biuletynu”. Tym razem niemal w całości poświęcony został ormiańskiej rodzinie Krzysztofowiczów, zamieszkującej do wybuchu II wojny światowej tereny Pokucia i Bukowiny. Opublikowane teksty źródłowe to wspomnienia potomków Krzysztofowiczów oraz osób blisko związanych z tą rodziną. Materiały ułożono w porządku chronologicznym: najpierw opracowanie Stanisława Kalinki, następnie wspomnienia Krystyny Wieczfińskiej-Janickiej, na temat jej dzieciństwa w Karapczyjowie, później tekst Stefanii Krzysztofowicz-Kozakowskiej o rodzicach, dziadkach oraz wcześniejszych pokoleniach, a całość zamyka relacja o jej życiu i pracy zawodowej, przedstawiona w formie wywiadu.

Wspomnienia te ukazują rodzinne koligacje oraz zarówno podniosłe, jak i codzienne wydarzenia z życia bohaterów. Szczególną wartość mają relacje naocznych świadków – pełne cennych szczegółów przenoszą czytelnika z XXI wieku w realia minionej epoki. Każdy z tekstów, mimo że pojawiają się w nich te same postacie, przedstawia je w odmiennym kontekście, rzucając nowe światło na ich życie i działalność.

Drugim atutem publikowanych wspomnień jest bogaty materiał ilustracyjny, pochodzący głównie ze zbiorów autorów. Fotografie przedstawiają nie tylko bohaterów wspomnień, ale także dwory ziemiańskie, zabudowania gospodarcze, a nawet sceny prac polowych. Uzupełnieniem są reprodukcje interesujących dokumentów archiwalnych.

Autorom oraz wszystkim osobom, które pomogły w zebraniu materiału i pracach redakcyjnych, składamy serdeczne podziękowania. Wyrażamy nadzieję, że niniejsza publikacja nie tylko przyczyni się do zachowania pamięci o tej rodzinie, ale również zachęci do dalszych poszukiwań archiwalnych i powstania kolejnych opracowań z zakresu historii i genealogii.

Jednocześnie zwracamy się do Szanownych Państwa z apelem o udostępnianie wspomnień i historii innych rodzin ormiańskich – co mogłoby zaowocować powstaniem kolejnych tematycznych numerów „Biuletynu”.

Howannes Tumanian



Utwory
wybrane

Howannes Tumanian, narodowy poeta Armenii i zasłużony działacz społeczny tego kraju, urodził się w 1869 r. we wsi Dysegh położonej w północno-wschodniej części historycznej Armenii, która wówczas należała do Rosji. Był synem niskiej rangi duchownego Ormiańskiego Kościoła Apostolskiego (por. przypis 46 w rozdziale *Opowiadania*).

Jego ojciec wywodził się ze starego rodu szlacheckiego. Wraz z żoną wychowali ośmioro dzieci. Najstarszym z nich był Howannes (z ormiańskiego: Jan). Nazwisko Tumanian pochodzi od imienia Tuman, którego etymologia nie jest całkiem jasna. Być może było ono spokrewnione z imieniem Tomasz. Odpowiednikiem tego nazwiska w wersji polskiej był Tumanowicz. Tak nazywał się znany ród polskich Ormian.

Przyszły pisarz rozpoczął swoje kształcenie od dwuletniej szkoły parafialnej w ojczystej wsi. Następnie przez cztery lata uczęszczał do szkoły w miasteczku Dżalal-oghły (obecnie Stepawan), po czym został uczniem ormiańskiego liceum o nazwie Nersisjan Dyproc (dosłownie: Szkoła Nersesowa) w Tyflisie (obecna oficjalna nazwa to gruzińskie Tbilisi). Prawie połowę ludności historycznej stolicy Gruzji stanowili wówczas Ormianie.

W 1887 r. z powodu biedy zmuszony był do porzucenia szkoły średniej. Dalej kształcił się sam, jednocześnie pracując zarobkowo w różnych miejscach, a od 1893 r. był zatrudniony w redakcjach ormiańskich gazet. Pod koniec XIX w. zdobył popularność jako organizator spotkań ormiańskiej inteligencji działającej w Tyflisie, która stworzyła klub literacki o nazwie Wernatun chymbak (Grupa Poddasze). Nazwa ta nawiązywała do miejsca zebrania członków tego swobodnego salonu literackiego – było nim najwyższe piętro domu, w którym Tumanian mieszkał w Tyflisie. Do grupy Wernatun należeli m.in. następujący znani pisarze wschodnioormiańscy: Ghazaros Aghajan, Derenik Demirczian, Awetik Isahakian i Lewon Szant.

W 1912 r. Howannes Tumanian został prezesem Towarzystwa Ormiańskich Pisarzy Kaukazu. Podczas pierwszej wojny światowej działał w Komitecie Opieki nad Ofiarami Wojny, który zajmował się udzielaniem pomocy ormiańskim uciekinierom z Turcji, gdzie w 1915 r. rozpoczęło się masowe ludobójstwo Ormian, znane jako Ceghaspanutjun.

W 1918 r. Tumanian został przewodniczącym Konfederacji Ormiańskich Związków Rodaków, znanej pod ormiańskim skrótem HHMM.

W 1921 r. pisarz udał się do Konstantynopola (Ormianie unikają tureckiej nazwy tego miasta: Stambuł) w związku z działalnością Ormiańskiego Stowarzyszenia Pomocy (HOM), które opiekowało się osobami poszkodowanymi w trakcie Ludobójstwa. Podczas kilkumiesięcznego pobytu w Turcji dopadła go ciężka choroba. Zmarł w szpitalu w Moskwie 23 marca 1923 r.

Życie rodzinne pisarza rozpoczęło się wcześniej i było szczęśliwe. Już w wieku 19 lat poślubił młodszą o dwa lata Olgę Maczkalian. Mieli dziesięcioro dzieci.

Wiersze zaczął Howannes pisać wcześniej, już w 12 roku życia. Jego twórczość poetycka obejmowała różnorodne gatunki: zarówno krótkie wiersze, jak i dłuższe poematy, w tym także ballady, np. *Parwana* (imię żeńskie). Pisał stylem ludowym, poruszając wątki patriotyczne, miłosne, a czasem również filozoficzne.

O wysokim prestiżu, jakim cieszyła się poezja Howannesa Tumaniana w Armenii, świadczyły przypadki wykorzystywania jego utworów przez wybitnych muzyków. I tak np. poemat *Anusz* (imię żeńskie) z lat 1890-1892 stał się podstawą libretta opery narodowej Armena Tigraniana, znanej pod tym samym tytułem. Poemat *Zdobycie Tymkaberdu* (nazwa twierdzy) natchnął kompozytora ormiańskiego Aleksandra Spendiariana do skomponowania opery *Almast* (Diament). Jego inny poemat, *Dawid z Sasunu* (w oryginale: *Sasunci Dawit*), nawiązywał do walk Ormian z najeźdźcami arabskimi w VIII w.

Zabarwioną folklorem prozą pisał Tumanian baśnie i opowiadania. Te pierwsze były ciepłe i wesołe. Te drugie – nieraz przejmujące w swym dramatyzmie, jak np. *Gikor* (Grześ). Treścią wielu opowiadań była krytyka ciężkiej sytuacji społeczeństwa ormiańskiego żyjącego w carskiej Rosji w warunkach wielkiej niesprawiedliwości. Wiejska młodzież, nieraz uzdolniona, nie miała szans na rozwój swych talentów

i się marnowała, por. np. opowiadanie *Im ynker Neso-n* (*Mój kolega Neso*). Dużą wartość miały teksty popularyzujące wiedzę przyrodniczą, np. *Świerszcz*, *Wilk*.

Niektóre z jego utworów doczekały się ekranizacji. W 1980 r. powstał film *Dzachort Panos-y* oparty na treści baśni *Pechowy Panos*. W 1986 r. zostały sfilmowane dwie inne pełne humoru baśnie: *Kadž Nazar-y* (*Waleczny Nazar*) i *Kikosi mah-y* (*Śmierć Kikosa*).

Jako wybitny pisarz, a jednocześnie działacz kulturalno-społeczny Howannes Tumanian wywarł wielki wpływ na całą kulturę XX-wiecznej Armenii. Jego utwory były tłumaczone na wiele języków. Najwyższy czas, by zapoznali się z nimi także polscy czytelnicy.

Powyższy tekst jest wstępem do książki: Howannes Tumanian „Utwory wybrane”, OTK, Kraków 2025.

Portrety rodzinne. Rodzina Krzysztofowiczów¹

Stanisław Kalinka²

Rodzina Krzysztofowiczów herbu własnego Donabiet była szlachtą mołdawską – potwierdzenie szlachectwa uzyskała w 1791 roku w Jassach. *Herbarz Polski* Kaspra Niesieckiego wymienia różnych Krzysztofowiczów, legitymujących się potwierdzeniami szlachectwa bukowińskiego wydanymi w latach 1883, 1889 i 1913. Sadok Barącz wymienia w swych pracach szereg Krzysztofowiczów, którzy zajmowali różne stanowiska i urzędy tak świeckie, jak i duchowne. Na przykład Antoni Krzysztofowicz był sekretarzem królewskim mianowanym przez króla Stanisława Augusta w 1781

- 1 Opublikowany fragment dotyczący rodziny Krzysztofowiczów jest jednym z rozdziałów obszernego opracowania na temat rodziny Kalinków oraz spokrewnionych i spowinowaconych z nimi innych rodzin. Wspomnienia powstały w latach 1982-1983 i są przechowywane w formie maszynopisu w zbiorach Andrzeja Kalinka w Krakowie. Redakcja dziękuje za udostępnienie tekstu do druku. Na stronie kontrtytułowej autor zamieścił swego rodzaju inwokację: „W tym zarysie pragnę przedstawić mym dzieciom i bratankom krótką historię naszej rodziny tudzież sylwetki poszczególnych jej członków, krewnych i powinowatych, którzy już dawno odeszli. Wielu z nich znałem osobiście. Przekazuję zatem młodszej generacji, to co zdołałem ustalić, zdając sobie sprawę, że w miarę upływu lat, zebranie nawet tak skromnego materiału, może okazać się rzeczą trudną lub wręcz niemożliwą”. Podczas prac redakcyjnych zachowano oryginalny styl autora, skorygowano jedynie niektóre błędnie podane daty, które ustalono na podstawie kwerend genealogicznych prowadzonych przez Fundację Kultury i Dziedzictwa Ormian Polskich w Warszawie. Do danych metrykalnych parafii ormiańskich autor w latach osiemdziesiątych nie miał dostępu.
- 2 Stanisław Kalinka (1907-1992) – syn Stanisława i Marii z Krzysztofowiczów, prawnik, mieszkał w Krakowie.

roku. Z kolei Józef Krzysztofowicz został w 1806 roku biskupem mohylewskim. Jeden z Krzysztofowiczów, Dawid, był sekretarzem na dworze Augusta III, inny Antoni, mieszczanin krzemieniecki, po przejściu Ormian pod prawo polskie, jako jeden z pierwszych występuje z żądaniem herbu i otrzymuje zezwolenie od Augusta II w 1726 roku. Była to więc rodzina stara i wielce zasłużona, choć nie zajmowała wybitnych urzędów i foteli senatorskich. Przeważnie odgrywali na dworach rolę tłumaczy, uczestniczyli w delegacjach dyplomatycznych, ale głównym ich zajęciem było rzemiosło i gospodarowanie na roli.

Przez Krzysztofowiczów spokrewniliśmy się z Potockimi herbu Szeliga, z hr. Łosiami, Passakasami, Tatarczuchami, Jaruzelskimi, Zawadzkiimi, Kobylańskimi, Cybulskimi itd.

Krzysztof Deodat Krzysztofowicz ożeniony z Anną Zadurowiczówną, miał sześcioro dzieci:

1. Jana ożenionego z Marią Antonowicz;
2. Kajetana (1808-1875) ożenionego z Emilią baron Romaszkan (1822-1905). Ona to zakupiła w Rzymie obraz *Matki Boskiej z Dzieciątkiem* (kopię Carlo Dolci), który przez wiele lat wisiał nad łóżkiem naszej matki;
3. Zachariasza ożenionego z Zofią Artonowicz;
4. Gertrudę za Piotrem Jakubowiczem;
5. Teklę za Józefem Simonowiczem;
6. Grzegorza.

Dziećmi Jana i Marii Antonowicz byli:

- 1) Ignacy (zm. 1903) ożeniony z Zofią Aywas (zm. 1896), których wnukami byli:
 - a) Maria Passakas – ciocia Muszka (1888-1973) za Marianem Krzysztofowiczem z Jasienowa – wspomnę w dalszym ciągu;
 - b) Juliusz z Kolanek (1890-1968) – wuj Julo, ożeniony z Marią Jaruzelską z Książa (1905-1960).

2) Szczepan (1836-1923) ożeniony z Wiktorią Szubert (1840-1932). Ich dzieci:

a) Artur (1866-1908);

b) Eugenia (1865-1950) poślubiła w 1895 roku dr med. Władysława Tatarczucha. Ich córka Eugenia (Nusia) z Kornicza (1895-1963) poślubiła w 1944 roku Eugeniusza Skucińskiego. Ciocię Genię i Nusię znaliśmy bardzo dobrze, bo po II wojnie mieszkały w Krakowie.

O wspomnianym wyżej wuju Julu Passakasie należy nadmienić, że był bardzo dobrym, szlachetnym i muzykalnym człowiekiem. Ożenił się z Marysią Jaruzelską z Kniaża w 1925 roku. W okresie międzywojennym mieszkali w Krakowie wraz z synem Jurkiem, który pod względem temperamentu wdał się w ojca. Był trzy razy żonaty. W czasie II wojny Julowie byli wywiezieni do Semipalatynska, skąd z Armią Andersa dostali się na Bliski Wschód. Oboje działali w służbach pomocniczych II Korpusu. Po wojnie mieszkali znów w Krakowie. Wuj się zrobił bardzo sentymentalny, żył wspomnieniami i wygłaszał nawet odczyty na temat swoich wojennych przeżyć. Jednak zwykle nie mógł ich dokończyć, gdyż się rozklejał i płakał.

Dziećmi Zachariasza i Zofii Aritonowicz byli:

1) Józef (1843-1923) ożeniony z Marią Goilaw (1857-1922), właściciel Modzelówki i Józefówki, inżynier hipolog i dobry gospodarz. Wynalazł miksturę, którą leczył konia pod nazwą *Mikrocid*. Z czasem okazało się, że lek ten skutecznie pomaga i ludziom w chorobach płucnych, wobec czego produkował go na dużą skalę. Pamiętam tę miksturę z dziecinnych lat, gdy znalazła się u nas. Był to ciemny płyn o bardzo ostrym zapachu karbolowym.

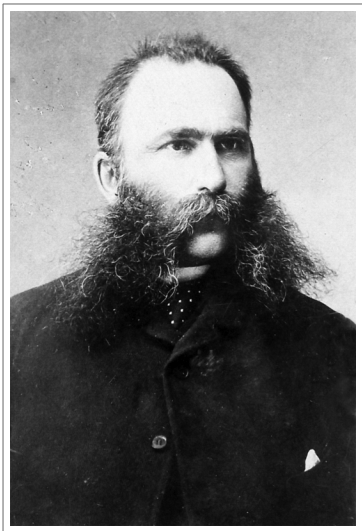
2) Franciszek poślubił Paulinę Krzysztofowicz (1841-1920).

Prawnuczką zaś Gertrudy za Jakubowiczem była ciocia Irenka Mack (ur. 1892), która miała bardzo bujne życie za młodu. Wojna zastała ją w Kniażu u Jaruzelskich, gdzie była do towarzystwa

i konwersacji francuskiego u swych kuzynek. Trzeba dodać, że była ładna o pięknych dużych oczach, a przy tym inteligentna i wykształcona. Po wkroczeniu wojsk rosyjskich do Kniaża, zakochuje się w oficerze kozackim Zajcewie, który po wycofaniu się Rosjan uwozi ją ze sobą. Po wybuchu rewolucji Zajcew, który należał do „białych” ginie w walce z bolszewikami. Ciotka na darmo przez dłuższy czas poszukuje grobu męża. Zostaje z małym synkiem Antosiem (ur. 1918) w bardzo trudnych warunkach, jakie wówczas w Rosji panowały. Dopiero gdzieś około 1921 roku, po utworzeniu Misji Polskiej, poznaje sekretarza tej misji Józefa Rybickiego (1893-1966), który ją poślubia i adoptuje syna. Znałem ich bardzo dobrze, bo po przyjeździe do Polski, mieszkali w latach trzydziestych w Jarosławiu, gdzie ich odwiedzałem będąc niejednokrotnie na ćwiczeniach wojskowych. Odwiedzałem ich też w czasie II wojny we Lwowie w 1939 roku oraz w latach 1943-1945. Ciotka po II wojnie wiele lat mieszkała jeszcze we Lwowie, by pod koniec życia, gdzieś w 1978 roku przenieść się na stałe do syna do Wrocławia. Jej syn Antoś ożenił się w 1939 roku z Danutą Graniczną (z rodziny cygańskiej), ale małżeństwo niezbyt szczęśliwe, bo Antoś miewał jakieś pozamałżeńskie damulki. Ciotka na starość straciła wzrok, ale usiłowała pisywać, jednak było to nie do odczytania.

Dziećmi Kajetana i Emilii Romaszkan byli:

- 1) Paulina (1841-1920), która poślubiła 1-v kuzyna Franciszka Krzysztofowicza, a 2-v, Nüdbruck-Lityńskiego, z którym miała córkę Edmundę i syna Henryka ożenionego z Anną Peterson. Edmundę znałem jako już starszą i mocno przygarbioną osobę, ale inteligentną i świetnie władającą francuskim. Bywała u nas w Krakowie. Utrzymywała się z dawania konwersacji. Zmarła w 1939 roku w Kołomyi w biedzie.
- 2) Roman (1842-1907) ożeniony w 1868 roku ze swą kuzynką Emilią baron Romaszkan (1850-1900), córką Karola i Joanny Passakas.

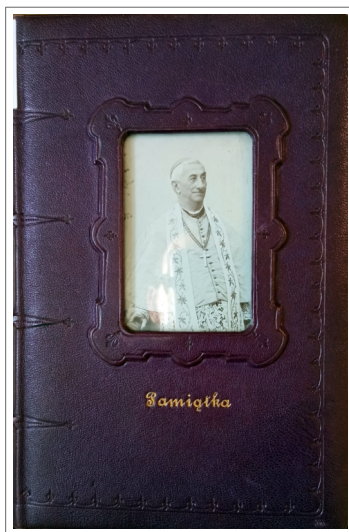


1. Roman Krzysztofowicz (1842-1907)

2. Emilia z Romaszków Krzysztofowiczowa (1850-1900)

Byli to nasi dziadkowie ze strony Matki. Romanowie posiadali kilka majątków, jak Karapczyjów nad Czeremoszem, Popielniki, Jasienów, Karolówka, Załucze. Gniazdem rodzinnym był Karapczyjów, który w zależności od zmieniających się granic politycznych, znajdował się kolejno: na Bukowinie, w granicach Austro-Węgier, potem po I wojnie w Rumunii i wreszcie po II wojnie w ZSRR. Kupno jednej części Karapczyjowa nastąpiło w 1836 roku przez Kajetana za 6 tys. dukatów, a resztę wykupił Roman w 1878 roku za 80 tys. złotych reńskich. Roman wybudował w Karapczyjowie duży pałac, trochę za ciężki, zwany Burgiem, gdzie się wszystkie ich dzieci rodziły. Roman był świetnym i zapobiegliwym gospodarzem, niemniej surową i tyranizującą głową rodziny. Stosunki małżeńskie między dziadkami nie układały się zbyt dobrze, tak, że był okres, że nie rozmawiali ze sobą, a komunikowali się za pośrednictwem starszych dzieci. Babka była osobą rozumną, taktowną i idealnie dobrą, a przede wszystkim bardzo religijną, co pozwalało jej znosić przykre usposobienie męża. Poświęciła się wychowaniu córek i dobro-

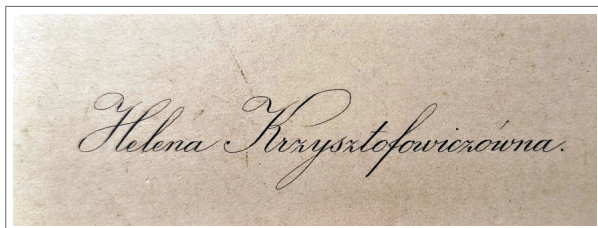
czynności. W tym trudnym okresie duchowym jej doradcą był złoto-usty arcybiskup obrządku ormiańskiego Izaak Isakowicz (1824-1901), którego około 340 listów zaadresowanych do Babki, pięknie oprawionych, zachowało się u naszej matki. Przekazałam je w 1977 roku do Archiwum Kurii Metropolitalnej w Krakowie, otrzymując potwierdzenie podpisane przez kardynała Wojtyłę, późniejszego Jana Pawła II. Listy te będą wykorzystane do opracowania biografii Arcybiskupa Isakowicza. Patronowała też budowie kaplicy w Karapczyowie, której poświęcenie nastąpiło w 1897 roku. W podziemiach kaplicy spoczęli dziadkowie, a synowie wmurowali tablicę ku ich pamięci. Niestety kaplica została w czasie II wojny światowej zdewastowana.



3. Abp Izaak Isakowicz (1824-1901) – fotografia ze zbiorów Romana i Emilii Krzysztofowicz
4. Oprawa listów abp Izaaka Isakowicza do Emilii Krzysztofowicz

Ks. arcybiskup Issakowicz, wyjechał wraz z kapłanem swoim, ks. Manugiewiczem, na Bukowinę, w celu dokonania poświęcenia ormiańsko-katolickiej kaplicy, wybudowanej i przeznaczonej dla użytku publicznego w Karapczyjowie przez pp. Romanów Krzysztofowiczów.

5. Notatka z „Kuriera Lwowskiego” 1897, nr 137



6. Bilet wizytowy Heleny Krzysztofowiczówny

Romanowie mieli ośmioro dzieci:

- A) Helenę (ur. 1869), która w 1895 roku poślubiła Tadeusza Szeligę Potockiego (ur. 1866). Mieszkali w Uhryniu koło Czortkowa. Obszerny dom, zniszczony w czasie I wojny, został z czasem odbudowany. Byłem tam dwa lub trzy razy. Ciotka zajmowała się domem i dziećmi, wuj, mniej gospodarstwem, a więcej majsterkowaniem. Wyrabiał na przykład łaski leszczynowe, których pełno było w całym domu, zapalniczki z łusek od naboju itp. Interesował się też automobilizmem. Ostatnio przed II wojną mieli Austro-Daimlera ADR. Wuj wymieniał w samochodach resory tradycyjne na własnego pomysłu spiralne. Okolica piękna, ziemia bardzo urodzajna (czarnoziem) nie wymagała dużego wysiłku by rodzic. Widziałem duże łąny, białą kwitnącej hreczki, na których pod wieczór żerowały stada dzikich kaczek. Wuj Tadeusz zaginął bez śladu w 1945 roku wywieziony przez bolszewików. Ciotka po II wojnie mieszkała w Krakowie,



7. Nekrolog Heleny z Krzysztofowiczów Potockiej (1953)

gdzie zmarła w 1953 roku i pochowana została w grobie ziemnym na Rakowicach.

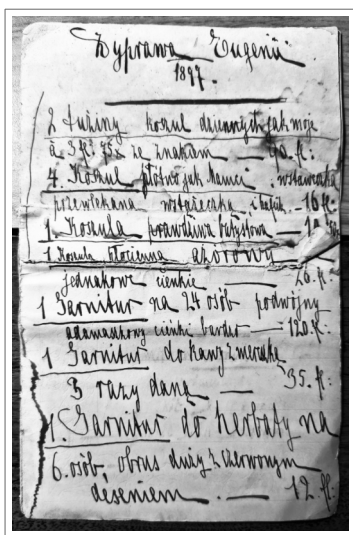
Potoccy mieli troje dzieci:

- a) Maryleczkę (ur. 1899) – brzydką, a do tego niezbyt normalną. Była wykształconą, władającą językami i muzyką. Była utrapieniem matki, plotła nieraz trzy po trzy. Nie pracowała, natomiast całe życie uczyła się różnych nieprzydatnych specjalności, na co matka zgadzała się dla świętego spokoju. Po II wojnie mieszkała jakiś czas z matką w Krakowie, ale potem wyjechała do Słupska, gdzie dotąd mieszka w trudnych warunkach.
- b) Romana (ur. 1906) – studiował agronomię w Grenoble, a po powrocie gospodarował w Uhryniu. Miły i sympatyczny kuzyn, pasjonował się końmi.

W 1939 roku po wejściu Sowietów, został wraz z siostrą wywieziony do Czortkowa i ślad po nim zaginął.

- c) Wandę (ur. 1907) – poślubiła Tadeusza Kownackiego, który zginął we wrześniu 1939 roku. Wandę bardzo lubiłem. Była najbardziej udana ze wszystkich kuzynek. Zginęła niestety bez wieści wraz z bratem w 1939 roku. Kownaccy mieli dwóch synów: Aleksandra i Jana, których po śmierci rodziców wychowała i wykształciła babka Kownacka. I tak tragicznie obszedł się los z tą całą rodziną, że obecnie żyje tylko Maryleczka w Słupsku (zmarła w marcu 1986).

- B) Eugenię (1872-1964), która poślubiła w 1899 roku Adolfa hrabiego Łosia (1859-1925) – skromnego urzędnika w Wydziale Krajowym we Lwowie. Mieszkali stale we Lwowie we własnej kamienicy (cioci Geni) przy ulicy Ujejskiego 6. Ciotka miała jeszcze majątek Karolówkę koło Zabłotowa, w której rządził się dzierżawcy, jak szare gęsi. Ciotka miała jeszcze ładną biżuterię i wiodło im się dobrze. Lubiła towarzystwo i sama dużo bywała. Wuj był dobry, cichy i spokojny. Ciotka była ideałem dobroci i łatwowierności. Nigdy nikomu nie szkodziła, nikogo nigdy nie obgadała. Była w najwyższym stopniu niepunktualna, niegospodarna i niezorganizowana. Dzień w tym domu zaczynał się w południe, a kończył grubo po północy,



8. Wykaz posagu Eugenii Krzysztofowiczówny (1897)

normalnie budzeniem i kąpaniem ukochanego ratlerka Żolki. Mimo licznej służby, bałagan był nieprawdopodobny, bo robiła, co chciała. Co czwartek przyjmowała u siebie gości

na tzw. Jourach, na których zjawiała się zazwyczaj ostatnia. Przyjęcia te odbywały się w eleganckiej oprawie, a więc srebra, porcelana, kryształy, lokaj w liberii i wątpliwej czystości białych rękawiczkach (na co dzień chłopak kredensowy), herbatka i ciasteczka. Ze służbą były zawsze kłopoty, bo często się zmieniała, a odchodząc unosiła co się dało. Tak zginęła ciotce w 1939 roku cała biżuteria. Ciotka się tym specjalnie nie przejmowała, znosząc ze stoickim spokojem różne dopusty. Jej zdolności finansowe były na ogół znane. Potrafiła na przykład skrupulatnie zapisywać każdy wydatek w miesiącu, jednak nigdy nie usiłowała tego podsumować, więc w rzeczywistości nie wiedziała ile dom kosztuje i ile wydaje. Wuj Marian jej niejedną raz tłumaczył i przemawiał, ale bez rezultatu. W czasie wakacji ciotka wyjeżdżała do Karolówki i składała wizyty w sąsiedztwie. Zajeżdżała powozem z wrzaskliwym pieskiem na kolanach i stangretem w liberii na koźle, w której czuł się bardzo nie-swojo. Prócz tego jeszcze lokajczuk na koźle w charakterze strzelca w tyrolskim kapeluszu z piórkiem. Te rekwizyty były oczywiście po każdej wizycie pieczołowicie przechowywane, a pompatyczne przyjazdy ciotki, wzbudzały zawsze niecodzienną wesołość i stanowiły temat na dobrych kilka dni. W 1920 roku uciekli ze Lwowa i mieszkali jakiś czas u nas w Krakowie. Wuja mało znałem, był cichy, spokojny i znoszący ekstrawagancje żony. W 1939 roku po wyjściu ze szpitala, gdzie leżałem ranny, jakiś czas mieszkalem u cioci Geni i podziwiałem domowy rozgardiasz. Po II wojnie ciotka wraz z Mariolką mieszkaly w Krakowie w bardzo trudnych warunkach materialnych. Ciotka, częściowo sparaliżowana, przykuta była do łóżka, znosząc jednak swój los bez słowa skargi. Zmarła w Krakowie w 1964 roku i została pochowana w grobie ziemnym na cmentarzu przy ul. Prandoty. Łosiowie mieli jedną córkę Mariolkę (ur. 1901) trochę zdziwaczalą na skutek domowego wychowania. O wygląd zewnętrzny

nie dbała, natomiast dużą wagę przywiązywała do higieny (ustawiczne mycie rąk, kąpiele, obuwie o dwa numery większe itp.) i racjonalnego odżywiania. Po śmierci matki mieszkała samotnie przy ul. Kołetek i trzeba przyznać, że pomimo częściowej niesprawności, okazała się bardzo praktyczną. Doskonale sobie radziła i potrafiła sobie dobrze zorganizować codzienne, tak trudne w jej warunkach, życie. Pomimo swych 81 lat umysł miała jasny i dobrą pamięć. Miała tylko jeden nawyk – gromadzenia wszystkiego co się da – bo może się przydać – to też pokój zagracony był do niemożliwych granic, ale czuła się z tym dobrze. Odwiedzaliśmy ją z Isią od czasu do czasu. Zmarła w Krakowie 27 kwietnia 1987 roku w wieku 86 lat.

- C) Alfred (ur. 1870) poślubił w 1903 roku Teklę Łubieńską (ur. 1878). Było to bezdzielne małżeństwo.

Ślub. Dnia 21. b. m. o godz. 12-tej w południe odbędzie się w kościele archikatedralnym łacińskim we Lwowie zaślubiny hr. Tekli Łubieńskiej córki Józefa hr. Łubieńskiego i Pelagji z książąt Jabłonowskich, z p. Alfredem Donabiet Krzysztofowiczem c. k. rezerwowym porucznikiem przy 6-tym pułku ułanów, właścicielem dóbr ziemskich, synem p. Romana Krzysztofowicza i s. p. Emilji z baronów Romaszkanów, właścicieli dóbr na Bukowinie i w Galicji.

Pp. Krzysztofowicze zamieszkali na Bukowinie, zażywając wielkiego poważania i są właścicielami znaczniejszej fortuny.

9. O ślubie Alfreda Krzysztofowicza z Teklą Łubieńską donosił „Kurier Lwowski”, 1903, nr 37

Znałem ich bardzo mało. Spotkaliśmy się z nimi zaledwie kilka razy i to na krótko w czasie pobytu u wuja Witolda w Karapczyjowie, czy u wuja Henia w Załuczu. Wuj Alfred otrzymał od ojca połowę Karapczyjowa wraz z pałacem tzw. Burgiem. Wuj był dobrym gospodarzem, ale jeszcze lepszym myśliwym. Świetnie jeździł konno i namiętnie polował, jeżdżąc nawet na łowy na grubego zwierza do Siedmiogrodu. Wuj był szczupły, średniego wzrostu, dobry, ale raczej trochę chłodny, z zacięciem cynika.

Był wielkim dystraktem. Pieniądze chował w różnych nieprawdopodobnych zakamarkach ogromnego domu i odnalezienie ich później sprawiało mu wiele kłopotu.



10-12. Pamiątki z balu karnawałowego

Ciocia Teca była trochę sztywna i etykietalna, dobrze grająca w bridge'a. Z wiekiem trochę zdziwaczeli. Pod koniec II wojny wyjechali z Karapczyjowa przed bolszewikami do Craiovej. Tam oboje zmarli w 1953 roku, prawie jednego dnia.

- D) Marian zwany Manesiem (ur. 1875) poślubił w 1908 roku Marię Passakas z Kolanek (ur. 1888). Wujostwo mieszkali w Jasienowie Polnym koło Horodenki. Wuj był średniego wzrostu i krępej budowy. Był zamiłowanym gospodarzem i z głową do interesów, do których zabierał się jednak z rozważą i po dokładnym przeanalizowaniu. U niego familia i sąsiedzi zawsze zasięgali rady, gdy interesy ich zaczynały kuleć. Otrzymane po ojcu i za żoną majątki znacznie powiększył i nowocześnie zagospodarował. Wprowadził

mechanizację i tak w polu pracowały lokomobile, które ustawione na przeciwległych krańcach pola przeciągały wieloskibowe pługi, brony czy inny sprzęt. Przy gorzelni uruchomił likiarnię, którą, gdy nie dawała spodziewanych dochodów, po jakimś czasie zlikwidował. Stwierdził bowiem, że nie będzie konkurować z renomowanymi wyrobami Łańcuta i Dzikowa. Przerzucił się na rentowniejszy znacznie chów wołów opasowych, które wagonowo odstawiał do rzeźni w Mysłowicach. Prowadził również duże plantacje buraków cukrowych i kukurydzy. Dom w Jasienowie nie był reprezentacyjny, ale obszerny, wygodny i nadzwyczajnie gościnny. Nic dziwnego, że zawsze pełen był gości zjeżdżających na wakacje i różnych rezydentów. Najczęściej zjeżdżali Mieciowie Passakasowie z dziećmi, córką Janką (1910-1961), która wyszła w 1942 roku za Zbigniewa Chudzikiewicza i synem Leszkiem (ur. 1915) ożenionym w 1950 roku z Alicją Groblicką (ur. 1925). Często przesiadywał w Jasienowie Szczęśny Krzyżanowski, spokrewniony przez matkę z Passakasami, profesor gimnazjalny i zbieracz antyków. Ożeniony z Rosjanką Xenią, koleżanką ze studiów, ale małżeństwo nie nadzwyczajne. W późnym już wieku wyszukał sobie przyjaciółkę Jadzię, u której stale przebywał, traktując niemal jak drugą żonę. Krzyżanowscy mieli jedną córkę Elę. Ciocia Muszka gospodarna, spokojna i gościnna karmiła i zabawiała tygodniami przesiadujących gości. W czasie II wojny uciekli przed bolszewikami do Craiovej, uwożąc znaczną część dobytku na kilkudziesięciu wozach, co pozwoliło im przetrwać we względnym dostatku przez następne kilkanaście lat. Jeszcze wróć do brata cioci Jula Passakasa, który do schedy po swoim kuzynie Ignacym Passakasie doszedł w oryginalny sposób. Kuzyn ten idąc na front w czasie I wojny testamentem zapisał majątek Julowi z warunkiem, że w razie śmierci Jul ma sprowadzić jego zwłoki do kraju i pochować w rodzinnych

stronach. Niestety chce, że kuzyn istotnie ginie gdzieś na włoskim froncie i zostaje pochowany we wspólnej żołnierskiej mogile. By dojść do majątku, należało spełnić warunek testamentu. Wuj Julio rzeczywiście poczynił wiele starań, by zwłoki odnaleźć i sprowadzić do kraju, ale czy zwłoki były autentyczne, trudno było sprawdzić. W każdym razie zwłoki zostały pochowane z należyтым ceremoniałem i formalnościom stało się zadość, a nikt nigdy nie kwestionował tej sprawy.

Po zakończeniu działań wojennych wujostwo zjechało z Rumunii wraz z synami i synową do Krakowa, gdzie wuj Marian chorując na serce umiera w 1955 roku stosunkowo najwcześniej ze wszystkich znanych z długowieczności Krzysztofowiczów. Pochowany został na cmentarzu Rakowickim. Ciocia Muszka umiera w grudniu 1973 roku. Wujostwo mieli dwóch synów:

- a) Romana (ur. 1909) ożenionego we Lwowie w 1938 roku z Franciszką (Anią) de Oroszeny Bohdanowicz (ur. 1910). Ich córka Stefania (Stenia) – dr historii sztuki (ur. 1939) poślubiła w 1975 roku inż. Stanisława Kozakowskiego (ur. 1939);
 - b) Krzysztofa (ur. 1911) ożenionego w 1962 roku z Halszką Bilińską z domu Kuczyńską (ur. 1910).
- E) Witold (ur. 1877) poślubił w 1914 roku Marię Rogala Zawadzką (ur. 1890) zwaną ciocią Munią. Z jej starszą siostrą, żeni się w tym samym roku i dniu wuj Henryk, młodszy brat Witolda. Wuj stawia nowy dom w Karapczyjowie i gospodaruje na swej części i w Załuczu. Jest wzorowym gospodarzem. Dom pierwszorzędnie prowadzony, dobra kuchnia i wytresowana służba, ale to już główna zasługa ciotki, dbającej o te sprawy jak i wychowanie dzieci, które zawsze miały najlepsze bony i wychowawczynię. Ciotka była bardzo przystojną, szczupłą o niebieskich oczach szatynką. Byli idealnym małżeństwem i jedyni z całego

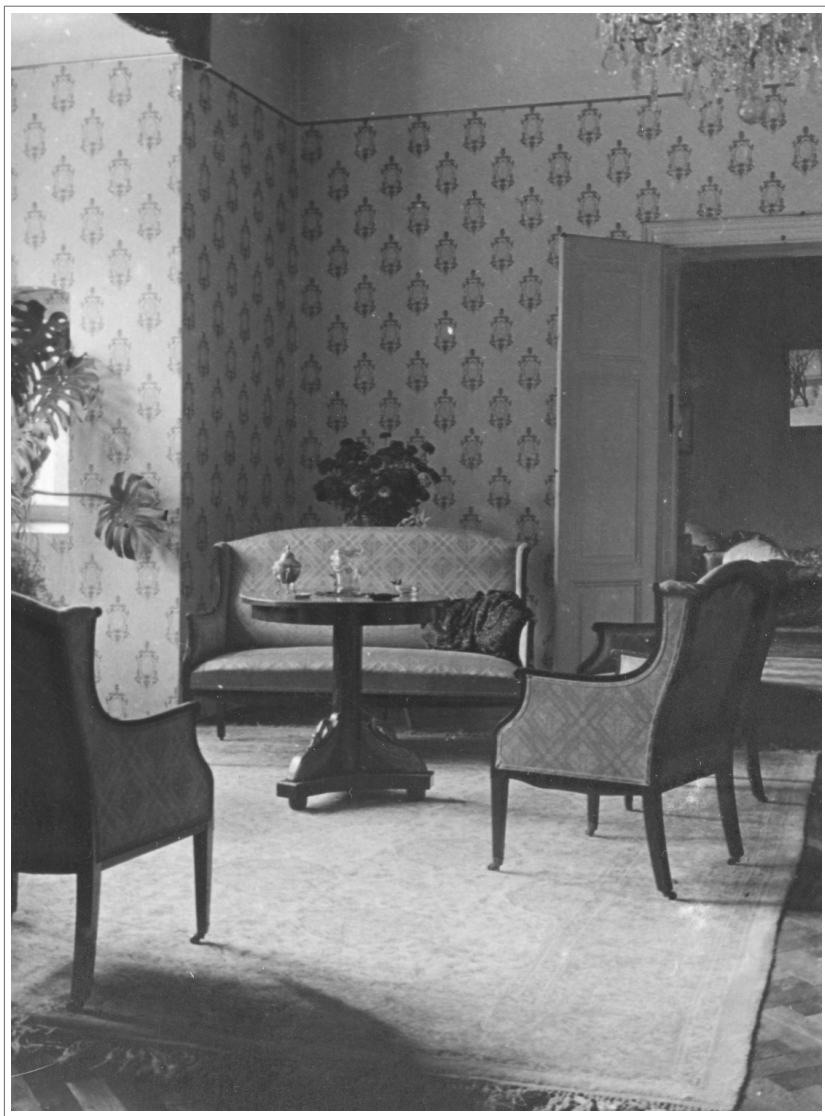


13. Dwór Witolda Krzysztofowicza w Karapczyjowie (około 1926)

rodzeństwa wuja doczekali się złotych godów w Krakowie, w 1964 roku. W czasie I wojny, wyjechali z dziećmi z Karapczyjowa, gdy wuj został powołany do wojska i przebywali w Wiedniu. Wakacje spędzane w Karapczyjowie zaliczaliśmy zawsze do udanych i to zarówno na towarzystwo kuzynów jak i rozrywki typu polowanie-koń. Atrakcją dla podniebienia były natomiast góry świetnych lodów wjeżdżających na deser. Z końcem drugiej wojny, gdy sowieci zaczęli się zbliżać, wujostwo wyjechało do Craiovej, skąd w 1946 roku zjechali do Krakowa i zamieszkali na Woli. Tam odwiedzaliśmy ich jeszcze z naszą matką, a z Isią i z dziećmi byliśmy częstymi gośćmi. Lubilem słuchać opowiadań wuja, który odznaczał się świetną pamięcią, zachowaną do ostatnich 93 lat swego życia. Był chodzącą kroniką rodzinną, pamiętał wszystkie daty urodzin, ślubów i zgonów. Umiał ciekawie opowiadać i żałuję, że nie dał się namówić do chronologicznego spisania swych wspomnień.



14. Dwór Witolda Krzysztofowicza w Karapczyjowie (około 1926)



15. Wnętrze dworu Witolda Krzysztofowicza w Karapczyjowie (około 1926)

Jemu zawdzięczałam wiadomości o Krzysztofowiczach i rodzinnych powiązaniach, co mi umożliwiło wykonanie drzewa genealogicznego tej rodziny. Ciotka, mimo że cierpiała na astmę, namiętnie paliła. Wujostwo zmarli w Krakowie: ciocia w 1967 roku, a wuj w 1970 roku. Zawsze byli bardzo serdeczni i gościnni tak, że brak ich odczuwamy do dziś, zwłaszcza jak jesteśmy na spacerze w tamtej okolicy. Wujostwo mieli troje dzieci:

- a) Marię (Litkę) (ur. 1914 w Wiedniu) zamieszkałą od roku 1964 w Kanadzie;
 - b) Janusza (ur. 1916 w Wiedniu) ożenionego w 1946 roku w Cieszynie z Ireną Rogozińską (ur. 1919). Mieli dwóch synów: Romana i Zbigniewa;
 - c) Władysława (Sławka) urodzonego w Karapczyjowie w 1918 roku, prof. dr. filozofii uniwersytetów w USA. Zmienił nazwisko na Kristof. W 1956 roku poślubił w Chicago Jane Williams (ur. 1932), dr. filozofii. Mają syna Mikołaja.
- F) Henryk – najmłodszy z braci matki (ur. 1878) poślubił siostrę Witoldowej Wiktorynę Zawadzką (ur. 1888) nazywaną Lunią. Obie pary brały ślub tego samego dnia i roku 1914 we Lwowie. Wuj był poprzednio w 1904 roku zaręczony z Kazimierą Słonecką, ale zaręczyny zostały zerwane, nie wiem z jakich powodów. Wuj był gwałtownego charakteru, podejrzliwy i chorobliwie zazdrosny o swoją młodą i wyjątkowej urody żonę, co było powodem licznych, nieuzasadnionych awantur domowych. Do wszystkich braci żywił tajone pretensje, że im się świetnie powodzi, a on został przez ojca skrzywdzony przy podziale schedy. Istotnie majątku ziemskiego nie otrzymał, ale też zamiłowania do rolnictwa żadnego nie miał. Wiem, że posiadał dwie kamienice we Lwowie, administrowane przez Kazimierza Lubienieckiego. W latach 1901-1902 odbywał służbę wojskową w Czerniowcach. W 1903 roku pracuje krótko w Towarzystwie

Kredytowym Ziemiem we Lwowie. Wujostwo prowadzili towarzyskie życie, wuj dla żony wymyślał efektowne stroje, a specjalnie lubował się w ploteczkach i różnych skandalikach towarzyskich. Mieszkali po I wojnie w Załuczu, w pobliżu stryja Eugeniusza, starego i zamożnego kawalera, któremu wuj pomagał w administracji majątkiem. Po długich latach wyczekiwania, doczekał się w 1925 roku śmierci stryja, otrzymując w zapisie połowę Załucza koło Śniatyna, ładnego i dobrze postawionego majątku. Druga połowa została zapisana starszemu bratu Witoldowi. Wuj pragnąc sobie odbić „chude lata” i zaimponować bliźnim przystępuje do budowy wspaniałej rezydencji, według projektu warszawskiego architekta, grubo za obszernej jak na ich rzeczywiste potrzeby i dochody. Dom posiadał z frontu podjazd, wsparty na solidnych kolumnach, wysoki hall oraz szereg pokoi w amfiladzie. Na piętrze pokoje gościnne i służbowe. Z boku rozległy taras z zejściem do pięknie utrzymanego ogrodu. Wyposażenie odpowiednie i ze smakiem, że tylko wymienię niektóre przedmioty z zachowanego inwentarza. A więc: garnitur mahoniowy, stary biedermajer, garnitur empire z brązami, stoliki i witryny mahoniowe z porcelaną, monetami i bibelotami, mahoniowe lustra z brązami, żyrandol kryształowy na 36 świec sprowadzony z Wiednia, dywany stare francuskie, perskie i smyrneńskie, obrazy Chełmońskiego, Brandta, Rejchana, Pawliszaka, Fałata, Ajdukiewicza, Wierusz-Kowalskiego, portret ciotki naturalnej wielkości pędzla monachijskiego malarza Franciszka Horodyskiego, stare portrety, sztychy, miniatury, fortepian mahoniowy Schweighofer itp. Utrzymanie porządku wymagało licznej służby, która często się zmieniała, gdyż wuj był wymagający i nazbyt nerwowy. Dom i wyposażenie kosztowało bardzo dużo, a dodatkowym wydatkiem był zakup na targach lwowskich wspaniałej i luksusowej limuzyny marki Mercedes. Te wydatki znacznie nadweryżyły spadek, tak, że będąc

w Załuczu po paru latach widziałem auto stojące na klockach, bo eksploatacja zbyt dużo kosztowała. W domu role były odwrócone, gdyż służbą i gospodarstwem domowym zajmował się wuj, konferując z kucharką i układając menu, a ciotka zajmowała się ogrodem, gośćmi i bridge'em. Do gospodarstwa był rządca. Wuj z całego rodzeństwa najbardziej kochał naszą matkę, dla której był przez całe życie nadzwyczaj dobry, mimo, że matka nieraz ganiła jego postępowanie. We wrześniu 1939 roku gościł w Załuczu u wuja cały rząd polski, przed udaniem się do Rumunii na emigrację. Wobec zbliżających się wojsk sowieckich, wujostwo wyjeżdżało z Załucza i to tak szybko, że nic nie zdążyli zabrać ze sobą. Wszystko bezpowrotnie przepadło zrabowane i wywiezione. Jakiś czas przebywają w Iwoniczu, a następnie zjeżdżają do Krakowa, gdzie mieszkają w jednym pokoju u naszej matki. Niestety ciotka po jakimś czasie zaczęła niedomagać, a następnie dotknięta paraliżem, przez wiele lat nie podnosi się z łóżka. Pod koniec została dotknięta ślepotą. Trzeba przyznać, że wuj w tym okresie okazał się najlepszym mężem i opiekunem, wykonując przy chorej, całkowicie bezwładnej, najprzykrzejsze usługi. Ciotka umiera w 1955 roku i zostaje pochowana na cmentarzu Rakowickim. Na życzenie Antka zamieściłem na grobowcu tabliczkę pośmiertną.

Po roku lub dwóch po śmierci żony wuj wyjeżdża do syna do Londynu. Stamtąd bardzo często pisuje do naszej matki, opisując różne imprezy, na których bywa i trzeba przyznać bardzo ciekawie. I tak na przykład podziwia z galerii bal wydany przez królową dla służby dworskiej i urzędników. Innym razem opisuje luksusowe wnętrze samolotu jakiegoś maharadży oraz noworoczne przyjęcie u prezydenta emigracyjnego rządu Zaleskiego czy Raczkiewicza. Bolał ciągle nad kawalerskim stanem syna, ale nie miał na niego żadnego wpływu. Mieszkał zresztą osobno, korzystając

z zapomogi królowej i dostarczanych mu do domu posiłków. Zmarł w 1970 roku i został pochowany na londyńskim cmentarzu.

Wujostwo mieli jednego syna Antosia (ur. 1914), który po ukończeniu gimnazjum w Śniatynie studiował prawo na Uniwersytecie we Lwowie, uzyskując magisterium. Antek był przystojnym (podobny do matki), inteligentnym, wesołym i muzykalnym młodzieńcem. Świetnie tańczył i bardzo dobrze grał na fortepianie. Powodzenie każdej zabawy z jego udziałem było gwarantowane, toteż był rozrywany i wszędzie zapraszany. Temperamentem swoim roznosił nawet taki ogromny dom jaki był w Załuczu. Z ojcem się nigdy nie rozumieli i nieraz dochodziło do ostrych starć i awantur. Antek, znając słabość ojca do rzeczy martwych, w krytycznym momencie łapał coś ciężkiego i mierząc we wspaniały kryształowy świecznik – dumę ojca – groził, że jak ojciec jeszcze cokolwiek powie, to walnie. Skutek był natychmiastowy i na takie dictum, ojciec wycofywał się z placu.

Sławny był jego wyjazd do Lwowa na zakupy osobistej garderoby z większą gotówką wręczoną przez ojca. Antoś wesoło się bawił przez kilka dni, a wrócił tak jak pojechał, w tym samym ubranku, jedynie z nową laseczką kupioną za ostatnie grosze. Na wołowej skórze nie spisałoby się takich jego wesołych wyczynów w gruncie rzeczy nieszkodliwych. W czasie II wojny Antek zostaje zmobilizowany i dostaje się do niewoli. Przebywa w oflagu w Murnau, obozie oficerskim. Za udział w kampanii wrześniowej zostaje odznaczony krzyżem Virtuti Militari, a po wyjściu z niewoli i wyjeździe do Anglii, zostaje awansowany w Londynie do stopnia rotmistrza. Przez szereg lat utrzymuje się w Londynie z gry na fortepianie po lokalach, a następnie z pilotowania wycieczek po różnych krajach Europy. Mimo, że miał wiele kobiet do wyboru, na małżeństwo się nie zdecydował i pozostał kawalerem. Do majątku też nie doszedł, bo grosz

się go nie trzymał. Zmarł w Londynie w 1978 roku na raka płuc, zdając sobie doskonale sprawę ze swego stanu. Pochowany na tamtejszym cmentarzu.

- G) Maria³ (ur. 23 marca 1884 w Karapczyjowie nad Czeremoszem) – rodzicami chrzestnymi byli: Ludwika Starzyńska i ks. kanonik Jan Szymonowicz, a obrzędu chrztu dokonał ksiądz arcybiskup obrządku ormiańskiego Izaak Isakowicz. We Lwowie, ojciec nasz Stanisław Kalinka poznał naszą matkę, młodziutką 22 lata liczącą. Zakochują się oboje w sobie i pragną się poślubić. Rodzina matki jest jednak przeciwna małżeństwu, zwłaszcza surowy i despotyczny ojciec, z uwagi na słabą urzędniczą pozycję ojca i nie-

najlepszą reputację jego brata Mieczysława, znanego lekkoducha. Mimo sprzeciwu ojca matki i braku zgody, młodzi biorą cichy ślub w Dawidowie pod Lwowem, gdzie tamtejszy proboszcz znany był z nieprzestrzegania formalności. Ślub odbył się 1 czerwca 1906 roku, a świadkami byli Stefan Sadowski i Witold Traczewski. Matka nasza wykazała wielką odwagę, by w ówczesnych czasach postąpić tak samowolnie i decydować się na ślub bez zgody ojca, który groził wydziedziczeniem i dążył do unieważnienia małżeństwa na drodze sądowej. W ostateczności zażądał, by młodzi usunęli się ze Lwowa, gdzie skandal był trudniejszy do zniesienia i zerwali z rodziną. W tej sytuacji rodzice



16. Maria Krzysztofowiczówna
(Atelier Amateur Brzeżany,
koniec XIX wieku)

-
- 3 Fragment opowiadający o Marii z Krzysztofowiczów Kalinkowej na potrzeby niniejszej edycji został przeniesiony z części opracowania dotyczącej rodziny Kalinków.

przenoszą się do Krakowa i zamieszkują początkowo w domu sióstr sercanek przy ul. Garncarskiej, gdzie w 1907 roku ujrzałem światło dzienne. Sytuacja rodziców początkowo nie była nadzwyczajna, a dopiero po śmierci surowego ojca w 1907 roku „anatema” rodziny złagodniała i matce został wypłacony posag z zapisu jej matki w wysokości 100 tys. koron. Rodzice przenoszą się do nowego, pięciopokojowego mieszkania przy ul. Jabłonowskich 9, gdzie w 1910 roku przychodzi na świat mój brat Jan. Pożycie małżeńskie i stabilizacja wywalczona z takim trudem nie trwały długo, bowiem ojciec umiera w wieku 29 lat dnia 24 lipca 1910 roku na skutek zbyt późno przeprowadzonej operacji wrzodu żołądka przez prof. Kadera. Pochowany zostaje w grobowcu rodzinnym na cmentarzu Rakowickim. Rozpacz młodej wdowy, naszej matki, była bez granic, zwłaszcza, że pozostała z dwoma małymi synami. Całe życie pozostawała we wdowieństwie, jedynie na czarno się



17. Maria z Krzysztofowiczów Kalinkowa i Stanisław Kalinka (przed 1910)

ubierając i poświęcając się mimo trudności w czasie I wojny i kłopotów finansowych naszemu wychowaniu, rezygnując ze szczęścia osobistego, pomimo, że miała kilka propozycji matrymonialnych. Dbała o nasze zdrowie wysyłając nas na różne letniska jak Zakopane, Rymanów, Iwonicz, jak również o wychowanie. Mielśmy bowiem w domu przed I wojną rodowitą Francuzkę, a potem przez wiele lat Niemkę, bardzo przywiązaną Attę (Natalię) Grzesinską. Opiekunem naszym i doradcą matki w sprawach finansowych był adwokat dr Stanisław Tomik, prawy i przeznacny człowiek. Środki na utrzymanie czerpała po I wojnie w czasach inflacji i dewaluacji z wyprzedaży co wartościowszych przedmiotów i resztek posiadanej biżuterii oraz odnajmowania dwóch



18. Maria Kalinkowa z synem Janem (około 1914)

pokoi. Dopiero gdzieś około 1925 roku, gdy byliśmy w szkołach, bracia matki przekazywali miesięcznie każdy po 100 zł, co wystarczało na skromne utrzymanie i pokrycie bieżących potrzeb. Za lat młodych była codziennie piechotą na grobie ojca (wtedy tramwaj nie dochodził do cmentarza). Z czasem, gdy lat przybywało, chodziła coraz rzadziej. Ojca nie pamiętam. Matce mamy wszystko do zawdzięczenia, tylko nie umieliśmy tego wówczas docenić,



19. Maria Kalinkowa (po 1945)

sprawiając jej tyle kłopotów naszymi postępami w nauce. Odplacić jej jak na to zasługiwała, nie potrafiłem w pełni. Była osobą cichą, bardzo pobożną – każdego dnia chodząc do kapucynów na Mszę św., taktowną, nadzwyczaj delikatną, uczynną i współczującą. Nigdy o nikim złego słowa nie powiedziała, a przeciwnie, każdego starała się wytłumaczyć, a doznane krzywdy zapominała i przebaczała. Pomimo swych 82 lat dzielnie zniosła następny wielki cios, jaki ją dotknął, mianowicie śmierć w 1966

roku mego młodszego brata Jana. Sama dożyła 92 lat, zmarła 11 czerwca 1976 roku. Umarła nad ranem samotnie i do dziś wyrzucam sobie, że nie byłem przy niej w jej ostatniej chwili, pomimo, że będąc u niej poprzedniego dnia wieczorem z żoną usłyszałem zapowiedź, że tej nocy umrze. Niestety, będąc urodzonym optymistą, nie brałem poważnie tej zapowiedzi i to mi do dziś nie daje spokoju.



20. Nekrolog Marii z Krzysztofowiczów Kalinkowej (1976)

- 3) Mikołaj – doktor prawa (ur. 1846) poślubił w 1875 roku Ewelinę Siemianowską (1856-1916), był członkiem Izby Panów w Parlamencie Wiedeńskim, posłem galicyjskiego Sejmu Krajowego we Lwowie, długoletnim marszałkiem powiatu, prezesem Ziemian Pokuckich, człowiekiem wielkich cnót, prawym i kryształowego charakteru. Do niego zwracała się nasza matka z prośbą o wstawienie się u ojca, gdy naraziła się na jego gniew, zawarłszy bez zgody potajemnie małżeństwo. Surowy ojciec żądał opuszczenia przez młodych Lwowa. Stryj Mikołaj odpisał matce: „Kochana Marylko! Odniosłaś się do mnie z życzeniem, abym zniewolił ojca do przebaczenia Ci, Twego fałszywego kroku. Bardzo trudnym jest naprawienie złego, wyrządzonego w sferze materialnej. To coś uczyniła jest tak rzadkim i nieznanym prawie w uczciwych rodzinach, że trzeba dużo czasu,

aby ci co Twoim krokiem zostali dotknięci, a mianowicie Twój biedny ojciec i najbliższa rodzina mogli to przeboleć. List Twój posłałem ojcu, polecając prośbę Twoją jego sercu i uwadze. W tej nieszczęsnej sprawie byłem jednym z tych, którzy zamiast dolewać oliwy do ognia raczej go łagodzili. Nie chcę Tobie robić wyrzutów, których sobie pewnie sama nie szczędzisz teraz, lecz czyn Twój wymaga przed Bogiem i ludźmi ekspiacji i zadośćuczynienia. Ojciec jako najmniejszą miarę tegoż, dyktowaną samym uczuciem przyzwoitości, wymaga abyś Ty i ten któregoś sobie wybrała samowolnie i w tak niezwykły sposób na towarzysza życia, usunęli się bezzwłocznie ze Lwowa, w przeciwnym razie gotów jest wystąpić w tej sprawie z całą bezzwzględnością w drodze karnej. Ojciec jest niezłomny w swym postanowieniu, które wykona w razie najmniejszej zwłoki z Waszej strony. Moją przeto radą jest zastosować się bezzwłocznie, choć teraz, do jego woli i zostawić rzecz czasowi i miłosierdziu ludzkiemu. Tymczasem polecając Cię łasce i opiece Boskiej, łączę serdeczne uściśnienia. Życzy stryj Mikołaj”. Rodzice zastosowali się do tej rady i przenieśli się do Krakowa. Stryja Mikołaja znałem i pamiętam doskonale jego szlachetną i rasową postać. Stryjostwo mieszkali w swym majątku Książę koło Śniatyna. Mieli jedną córkę Izabelę – ciocię Izię (ur. 1878), która w 1899 roku poślubiła Józefa Jaruzelskiego (1871-1939), tego samego, który był u moich dziadków w Radlnej, gdy służył w 2 pułku ułanów w Tarnowie. Do małżeństwa tego doszło w zupełnie przypadkowy sposób. Według tego, co mi opowiadał wuj Witold, ciocia Izia kochała się długo potajemnie i z wzajemnością w swym kuzynie Polańskim, mimo że oficjalnie była zaręczona ze Skibniewskim z Chliboki. Gdy data ślubu nieuchronnie się zbliżała, ciotka wysłała potajemnie do Polańskiego list z rozpaczliwym wezwaniem: „Władziu ratuj!”. Ten w bohaterskim zrywie stawia się na wezwanie, wzywa na

pojedynek Skibniewskiego, raniąc go zresztą niegroźnie. Robi się piekielna awantura, stary Skibniewski zrywa leżącemu w łóżku synowi z palca zaręczynowy pierścionek i odsyła narzeczonej, którą rodzice wywożą na dłuższy czas za granicę. Wracając po jakimś czasie z podróży, zatrzymują się w Tarnowie, gdzie ciocia Liza poznaje swego przyszłego męża Józefa Jaruzelskiego. Ciekawe, że takie rozwiązanie romantycznych tarapatów przepowiedziała cioci Lizi o wiele wcześniej pani Ligęza-Pawłowska, znana w okolicy kabalarka, objeżdżająca własną bryczką kolejno wszystkie dwory, wróżąc chętnym z kart. Ona to właśnie przepowiedziała cioci Lizi, że do małżeństwa ze Skibniewskim nie dojdzie, że czeka ją długa podróż, z której wracając, pozna w małym miasteczku swego przyszłego męża, co jota w jotę się sprawdziło. Ciocię Lzię i wujcia Józia znałem dobrze z okresu pobytów wakacyjnych w Załuczu i Karapczyowie. Ciocia Liza była osobą bardzo rozumną, inteligentną i taktowną. Na jej zdaniu polegał zawsze wuj Henryk, gdy miał jakieś osobiste kłopoty wynikające z jego porywczego usposobienia. Biedna ciocia Liza zginęła w 1943 roku w Oświęcimiu wywieziona tam przez Niemców wraz z córką Zitką. Wuj Józio był dobrym gospodarzem, człowiekiem prostolinijnym, uczciwym i wielkim patriotą. Był trochę despotycznego usposobienia, a w domu panował rygor trochę wojskowy. Nigdy nie bawił się w dyplomację i nie umiał politykować. Nic nie owijał w bawełnę i rąbał prawdę prosto z mostu. Będąc z natury wybuchowym i nie grzesząc taktem, był ustawicznie z kimś w wojnie, poczynawszy od starosty, a kończąc na sąsiadach i proboszczu. Ciotka musiała nieraz swym taktem łagodzić zaistniałe incydenty. Wuj Józio ginie też tragicznie w 1939 roku przy przechodzeniu granicy rumuńskiej przez Czeremosz. Wujostwo mieli sześcioro dzieci: Zbigniewa ożenionego z Heleną Konecką; Jadwigę, która poślubiła Bogusława

Horodyńskiego; Ewę, która poślubiła Aleksandra Cybulskiego; Marię, która poślubiła Juliusza Passakasa z Kolanek; Marcina ożenionego z Teresą Popiel; Teresę, która wyszła za Olgierda Gintyło.

- 4) Eugeniusz – najmłodszy syn Kajetana (1850-1925) – mieszkał jako stary kawaler w Załuczu, znałem go bardzo mało. Był zamożnym i podobno skąpym. Był w centrum uwagi bliskich krewnych jako potencjalnych spadkobierców. Szczególnie wuj Henryk liczył na spadek po nim i nie zawiódł się. Stryj Genio był pod dużym wpływem swego totumfackiego Dancewicza, którego krewni starali się nie zrażać, by w jego osobie mieć orędownika u bogatego stryja. Justyna Dancewicza pamiętam jako starca z bujnymi, siwymi bokobrodami. Matkę naszą lubił i był dla niej bardzo życzliwy. Stryj Genio oraz Henrykowie mieszkali w starym, obszernym domu. My w czasie wakacji w pokojach nad elektrownią.

Bibliografia do rodziny Krzysztofowiczów:

- 1) Leon Theodorowicz, *Nieco o heraldyce i rodach Ormian polskich*, Lwów 1925.
- 2) Odpisy sporządzone przez Witolda Krzysztofowicza.
- 3) Sadok Barącz, *Rys dziejów ormiańskich*, Tarnopol 1869.
- 4) Sadok Barącz, *Żywoty sławnych Ormian w Polsce*, Lwów 1856.
- 5) Oryginalny akt nominacji Antoniego Krzysztofowicza z pieczęcią i podpisem króla Stanisława Augusta przekazałem Januszowi Krzysztofowiczowi do Cieszyna.
- 6) Oryginalna delegacja wydana i podpisana przez biskupa Józefa Krzysztofowicza z 1814 roku przekazałem Januszowi Krzysztofowiczowi.
- 7) „Posłaniec św. Grzegorza” nr 5-6 z 1932 roku przekazałem Januszowi Krzysztofowiczowi.

Ponadto przekazałem Januszowi Krzysztofowiczowi znajdujące się w moim posiadaniu wszystkie inne dokumenty, korespondencję i fotografie, z uwagi, że on jeden z tej linii ma synów i wnuka. Muszę nadmienić, że współcześnie istnieje jeszcze druga linia Krzysztofowiczów, z tego samego pnia, tzw. „białych”. Z tej linii pochodzi wspomniany wyżej biskup Józef Krzysztofowicz, którego portret znajdował się w ich majątku.

Fotografie pochodzą ze zbiorów Archiwum Kurii Metropolitalnej w Krakowie (1-4), Archiwum Andrzeja Kalinki (6, 8, 10-12, 16-20), Archiwum Jerzego Dubiela (13-15), Biblioteki Jagiellońskiej (7).

Krystyna Wieczffińska-Janicka¹

Życie codzienne Krzysztofowiczów w Karapczyjowie nad Czeremoszem.

Wspomnienia siostrzenicy Krzysztofowiczów – Krystyny z Wieczffińskich Janickiej²

W Karapczyjowie – majątku Witolda Krzysztofowicza spędziłam właściwie całe dzieciństwo i wczesną młodość, aż do 1939 roku. Żoną Witolda była Maria z Rogala Zawadzkich (zwana Munią), rodzona siostra mojej matki Dyonizy z Zawadzkich Wieczffińskiej. Druga siostra mojej mamy – Wiktoryna (zwana Lunią) była żoną Henryka – brata Witolda. Od drugiego roku życia aż do rozpoczęcia szkoły z przerwami mieszkalam w Karapczyjowie, a potem spędzałam tam prawie wszystkie wakacje i święta. Zjeżdżali się tam zresztą często różni krewni, bo wujostwo Krzysztofowiczowie byli bardzo gościnni i prowadzili dom otwarty. Wujostwo mieli trójkę dzieci: najstarszą córkę Marię zwaną Litką, syna Janusza i najmłodszego syna Władysława nazywanego Sławkiem. Imię to otrzymał na pamiątkę po bracie matki Władysławie (którego wuj Witold bardzo lubił), który zginął na froncie włoskim w 1918 roku pod sam koniec wojny.

1 Urodzona 1 grudnia 1925 roku w majątku Krynica Białostocka w rodzinie Jana Wieczffińskiego i Dyonizy z Rogala Zawadzkich, uczęszczała do szkół prowadzonych przez siostry Niepokalanki w Niżniowie i Jazłowcu. W 1951 roku ukończyła studia na wydziale geologiczno-górnictw Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Przez wiele lat pracowała na stanowiskach kierowniczych Przedsiębiorstwa Geologicznego oraz Przedsiębiorstwa Geofizyki Górnictwa Naftowego w Krakowie. W 1952 roku wyszła za mąż za Jerzego Rola Janickiego, z którym miała córkę Annę. Odznaczona została Złotym Krzyżem Zasługi. Zmarła 5 marca 2025 roku w Krakowie i pochowana została na Cmentarzu Rakowickim.

2 Pomoc w redagowaniu i uzupełnieniu – córka Anna Janicka Wodzińska.

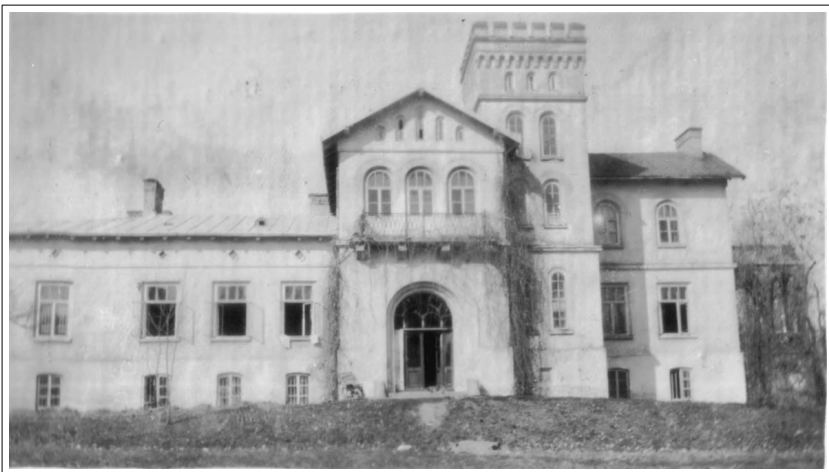


Imieniny Witolda; od lewej: Maria (Litka), Witold, Janusz, Władysław (Sławek) Krzysztofowiczowie i Krysia (Krystyna) Wieczfińska oraz pies Don, Karapczyjów 1928

Dzieci miały obywatelstwa polskie i rumuńskie. Ja byłam najmłodszym dzieckiem w całej najbliższej rodzinie, więc obie siostry mojej matki bardzo mnie kochały, rozpieszczały i dogadzały mi jak mogły.

W czasie wakacji w Karapczyjowie bywało też dużo młodzieży – różni krewni, kuzyni, koleżanki Litki, koledzy Janusza i Sławka. Byli też często praktykanci ze studiów rolniczych, którzy przyuczali się do prowadzenia gospodarstwa, a gospodarstwo w Karapczyjowie było naprawdę wzorowo prowadzone.

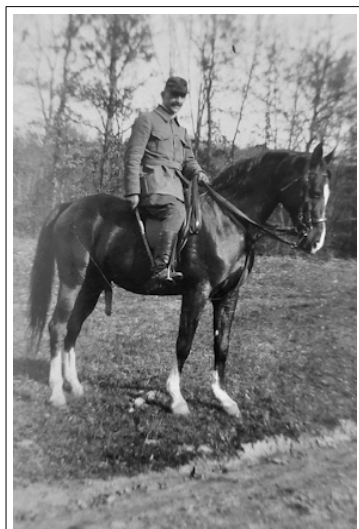
Ojciec wuja Witolda – Roman – zgromadził spory majątek, w tym Karapczyjów (który dzielił się na dwie wsie – Górny i tzw. Karapczyjów nad Czeremoszem) zapisany w testamencie dwóm synom Alfredowi i Witoldowi. Pozostali dwaj synowie: Marian otrzymał w testamencie Jasienów Polny, a Henryk – majątek Załucze.



Dwór Alfreda Krzysztofowicza, tzw. Burg w Karapczyjowie Górnym, lata 20. XX w.

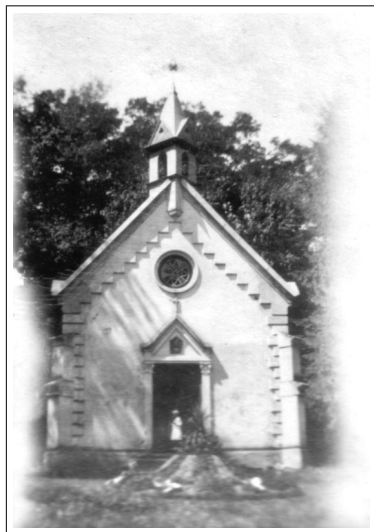
Roman Krzysztofowicz wybudował w Karapczyjowie Górnym duży dwór w formie zamku z basztami – nazywano go dlatego Burgiem. Tam też mieszkali początkowo Alfred i Witold. Od roku 1919 granica polsko-rumuńska przebiegała przez rzekę Czeremosz. Po stronie rumuńskiej był Karapczyjów, a po stronie polskiej znalazło się Załucze Dolne Henryka Krzysztofowicza.

Alfred ożenił się z hr. Teklą Łubieńską i dalej mieszkał w Burgu, w Karapczyjowie Górnym. Alfreda gospodarowanie specjalnie nie interesowało, natomiast dwór prowadzony był na szeroką skalę, zawsze pełen gości. Według tradycji był nawiedzony i odbywały się tam seanse spirytystyczne, w których czasem uczestniczyła moja mama i jej brat Feliks. Przy starym dworze Burgu był duży park, na którego końcu była wybudowana kaplica grobowa Krzysztofowiczów z poprzednich pokoleń. Tam został pochowany Roman Krzysztofowicz i jego żona Emilia z Romaszków. Kaplica była tak duża,



Alfred Krzysztofowicz

że co drugą niedzielę przyjeżdżał z parafii w Waszkowcach ksiądz i odprawiał mszę łacińską. Przychodziło bardzo dużo ludzi, przyjeżdżaliśmy my z ciotką Munią, wujem i gośćmi, ale przede wszystkim przychodziła służba. W tej też kaplicy moi rodzice brali ślub.



Kaplica w Karapczyowie Górnym

Natomiast Witold – w momencie, gdy zapadła decyzja o ślubie z ciotką Munią (Maria z Rogala Zawadzkich) zdecydował, że postawi nowy bardzo komfortowy – jak na ówczesne czasy – dwór w Karapczyowie Dolnym (nad Czeremoszem). Oba majątki dzieliła odległość około 3 kilometrów. W nowym dworze karapczyowskim było centralne ogrzewanie i elektryka, co na Bukowinie było ogromną rzadkością. Przy dworze była własna elektrownia, były kotły na centralne ogrzewanie i własny wodociąg. We dworze (patrzac od strony oficyny) na parterze znajdowały się kolejno: pokój chłopców, pokój cioci, pokój wuja, duży salon, salonik i gabi-

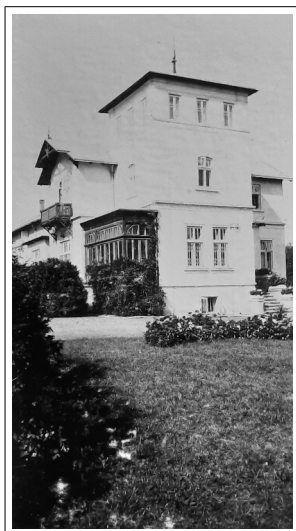
net (kancelaria) wuja. Do gabinetu było też osobne wejście z zewnątrz. W domu była też luksusowa łazienka, z wanną, prysznicem, bidetem, z trzema umywalkami, z szafami i kanapą. Taki salonik kąpielowy. Była też weranda, na której w maju ciocia prowadziła nabożeństwo majowe. Od wejścia był duży hol, pokój jadalny, spiżarnia, korytarz, pokój Litki i mój pokój, kredens, toaleta, dalej w głąb pokój dla służby, w którym mieszkał lokaj i wyjście kuchenne. Wejście główne do domu było od strony gabinetu wuja i salonu. Schody z holu prowadziły na piętro, gdzie były trzy pokoje gościnne na pierwszym piętrze i dwa na drugim. Tam między innymi mieszkała bona do dzieci, a potem profesor Stefan Fąfara (nauczyciel synów Janusza i Sławka).



Dwór Witolda Krzysztofowicza w Karapczyjowie nad Czeremoszem, 1923

Czasem też w pokojach gościnnych mieszkali w okresie wakacji siostry wuja Witolda, panie Kalinkowa, Łosiowa i Potocka z córkami. Do Karapczyjowa przyjeżdżał też Oktawian Romaszkan, dalszy kuzyn wuja Witolda. Bardzo miły człowiek. Na wakacje przyje-

żdżała nauczycielka z Francji i uczyła dzieci francuskiego, jakiś czas była też Angielka, a wcześniej, gdy dzieci były całkiem małe – mieszkali tam opiekunki – specjalna, bardzo fachowa opiekunka do niemowląt, pochodząca z Niemiec, nazywana Dadi, a potem także Austriaczka – niania Leontine Angerman, zwana Łońcią. Dlatego wszystkie dzieci mówiły płynnie w języku niemieckim. Wokół dworu był założony przez ciotkę Munię ogród kwiatowy, dalej warzywny i park ze stawem.



Dwór Witolda Krzysztofowicza w Karapczyjowie, 1923

Obok dworu stały osobno w jednym rzędzie elektrownia, stajnia, powozownia, kuchnia, i oficyna, gdzie były pokoje dla pozostałej służby. To był budynek parterowy. W oficynie był też wielki diesel, prądnica i prąd przechodził do akumulatorów i dopiero z aku-

mulatorów czerpało się na cały dwór, stajnię i drogę na folwark. Oświetlenie było na słupach i dwie lampy były na folwarku, czego nie spotykało się w innych majątkach. Folwark był od dworu oddalony o jakieś 300 metrów. Trzeba było przejść przez drogę, która prowadziła do wsi Karapczyjów i dalej wiodła do drugiego majątku i starego dworu – Burgu. Ze stawu ciągnęli wodę, był wodociąg do dworu i do stajni. Tak mniej więcej to wyglądało.

Witold gospodarował na całym areale obu majątków – ziemie orne i pastwiska to było około 2000 ha, może coś więcej, wiele uwagi też poświęcano prowadzeniu lasów (także ponad 1000 ha), którymi zarządzał inżynier leśnik Teofil Rygowski. Bracia dochodami się dzielili. Witold pilnował spraw rolniczych, zresztą miał skończoną szkołę rolniczą w Wiedniu. Alfred zajmował się lasami, spotykali się często z Witoldem na konferencje robocze dotyczące spraw zarządzania majątkiem. Alfred nie miał dzieci i w przyszłości majątek po nim miał dziedziczyć Władysław nazywany Sławkiem, najmłodszy syn Witolda.

U Witolda służba domowa i półfolwarczna to byli w przewadze Polacy. Niektórzy na paszportach mieli wyrabiane roczne pobyty. A fornale i pracownicy gospodarstwa to byli miejscowi – bukowinacy. Jak by się spytać – Kto ty jesteś? – to mówili – Ja jestem tutejszy z Bukowiny. Ogrodnik był prawosławny. Kucharz – Polak – nazywał się Bańkowski, pracował z synem kuchcikiem, była też do pomocy dziewczyna – podkuchenna.

Gospodyni Barbara – nazwiska nie pamiętam, ona była miejscowa – zajmowała się ogólnie gospodarstwem domowym, a także mleczarnią i kurnikami. Miała wnuczkę Elę, z którą ja często się bawiłam, wszyscy mówili po polsku. Myślę, że ona była Polką, bo jak była repatriacja to osiedliła się koło



Ogrodnik Dyzio z Januszem Krzysztofowiczem

Zielonej Góry. Ja ich tam nawet odwiedziłam raz chyba w latach sześćdziesiątych. Był jeszcze pan Berezowski, który był rządcą podlegającym wujowi. To był Polak, zarządzał folwarkiem w Karapczyjowie. Zginął zamordowany przez UPA.

Zakres obowiązków rządcy zależał od pory roku. Jak zaczynały się żniwa to wuj posyłał kilka furmanek w góry, w Karpaty Wschodnie po Hucułów. Huculi to byli tamtejsi górale karpacki. Żyli dość biednie w górach i chętnie najmowali się do robót sezonowych. Do wuja Witolda przyjeżdżali chętnie co roku, bo wiedzieli, że czeka ich tam uczciwy zarobek. Zabierali ze sobą żony, dzieci i niemal całe gospodarstwo. Mieli wybudowany specjalny dom za folwarkiem, gdzie wszyscy razem mieszkali. Huculi przyjeżdżali na dwa miesiące i to byli tzw. sezonowi robotnicy. Rano stawali w rzędzie i zarządca rozdelał robotę: dziesięcioro do kosy, dziesięcioro do snopków. Najczęściej przyjeżdżali na żniwa i na kopanie buraków i kartofli. Do młócenia zboża nie było ich potrzeba, bo na folwarku była młockarnia i do tej pracy byli miejscowi robotnicy, zatrudnieni na stałe. W gospodarstwie karapczyjowskim było chyba 16 fernali (robotników rolnych), mieszkali w czworakach



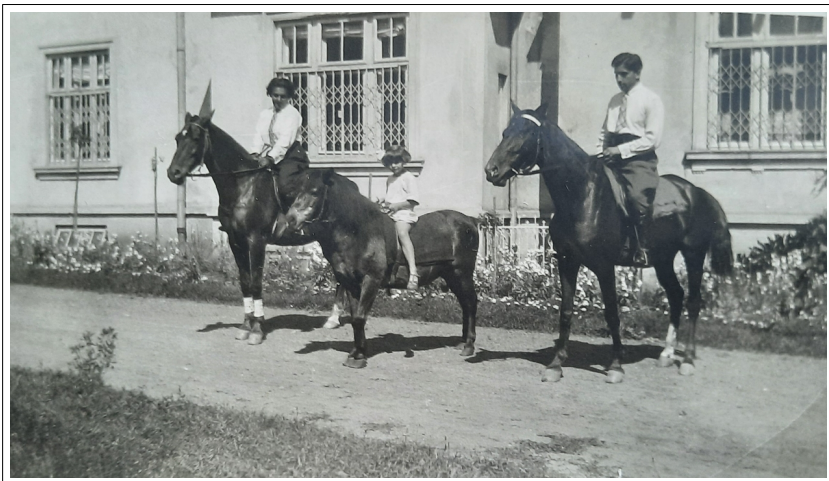
Prace polowe

i byli stałymi pracownikami. Przykładowo, jeden odwoził codziennie mleko do pobliskiego miasteczka Waszkowce. Co piątek kucharz z gospodynią wyjeżdżali na targ do Waszkowic i tam sprzedawali różne produkty i nadwyżki z gospodarstwa: mleko, masło i tym podobne.

Wracając do zarządcy, to on musiał wszystkiego dopilnować: porządku w gospodarstwie, robót polowych, zwierząt. Ponadto on miał klucze do stodół, do magazynów ze zbożem. Wydawał owies, na przykład na konia była norma 6 kg, więc stajenni przychodzili odebrać dokładnie wyliczoną ilość na każdego konia. Stajnie koni roboczych były w Karapczyjowie Górnym. Folwark był prowadzony jak na tamte czasy bardzo nowoczesnie i – jak by to powiedzieć – także pod względem socjalnym. Wuj bardzo dbał o ludzi. Jak wspomniałam, budował domki, zawsze premiował lepszych pracowników. Na Boże Narodzenie folwarczni dostawali dodatkową ordynarię, czyli wynagrodzenie miesięczne, częściowo w naturze, częściowo w pieniądzu. Przeważnie zboże czy mąkę. To była tak jakby trzynasta pensja.

Osobno obok folwarku była też gorzelnia i zatrudniony specjalista – gorzelnik. Wuj na swój koszt posłał syna gorzelnika na kursy gorzelniane, bo uważał, że jak stary gorzelnik pójdzie na emeryturę (u wuja zostawali na emeryturze) to potrzebuje mieć zastępcę – swojego człowieka w gorzelni. To samo było w lesie. Posyłał młodego chłopca syna leśniczego do szkoły dla leśniczych. Trzeba powiedzieć, że to był jeden z najbogatszych i najlepiej prowadzonych majątków na Bukowinie.

Warto też wspomnieć o hodowli wołów. Przychodził do wuja Żyd i wynajmował oborę i wstawiał woły węgierskie, jak jeszcze były całkiem młode. W lecie one się pasły na pastwiskach, a w zimie Żyd kupował od wuja dynie, które rosły między kukurydzą. Jak ścięto kukurydzę, to całe pole było od nich żółte. Te dynie przepuszczane były przez parownik z dodatkiem łożdzy kukurydzy i tym karmili woły. Dodatkowo woły były karmione brachą z gorzelni, co powodowało że szybko przybierały na wadze. Na wiosnę Żyd te woły sprzedawał, gdzieś na południu i rozliczał się z wujem.



Kuzynostwo, od lewej: Maria (Litka) Krzysztofowicz, Krystyna Wieczfińska i Jan Kalinka, Karapczyjów 1930

Ciotka miała oczywiście swoją pokojówkę Rózię, nie wiem czy była Polką czy Rusinką. Po niej pokojówką została Tala, moja niańka, która była Ukrainką. Jak się ją pytano to mówiła, że jest wychowana przy dworze. Po wojnie została na Ukrainie. Wyszła za mąż za Polaka. Ale zawsze twierdziła, że najlepiej jej było jak była we dworze, bo wszystkiego się nauczyła i żyła w dostatku. Została zatrudniona jako siedemnastoletnia dziewczyna do pomocy przy mnie, bo ja jak tam przyjechałam, całkiem mała, to oprócz mojej mamy musiał się mną ktoś zająć. Rządcy Berezowskiemu powiedziano, że potrzeba dziewczyny do dziecka, to pojechał do wsi, do Górnego Karapczyjowa i z takiej biednej rodziny ukraińskiej przywiózł dziewczynę. Natalia się nazywała, w skrócie wołali ją Tala. Niewiele co umiała i Łońcia przyuczała ją do opieki nad małym dzieckiem. Moja mama potem uczyła ją czytać i pisać po polsku. Po wojnie Tala kilkakrotnie przyjeżdżała do mnie do Polski w odwiedziny. Jak nie potrzebowałam już niańki i posłałam do szkół, to ona została we dworze jako pokojówka. Podawała ciotce śniadania, zajmowała się garderobą i bielizną, dbała i sprzątała pokoje – ciotki, pokój Litki, gościnny, mój pokój, a poza tym pracowała w mleczarni z gospodynią Barbarą. Wiele lat potem Tala twierdziła,

że okres pobytu we dworze karapczyjowskim był najszcześniejszy w jej życiu.



Rodzina Krzysztofowiczów i krewni, od lewej: Władysław (Sławek), Janusz, Wojciech Rogala Zawadzki – brat Marii Krzysztofowiczowej, Maria (Litka), Mariola Łosiówna (córka Eugenii, siostry Witolda), Witold, Maria (Munia) i Krystyna Wieczfinska, Karapczyjów, 1929

Gospodyni zajmowała się też praniem. Jak prała pościel z całego domu to wtenczas służąca i pokojówka musiały jej pomóc. Było tego dużo, i wszystko to się prasowało żelazkiem na „duszę” i krochmaliło.

Lokaj Mikołaj był wyznania prawosławnego, dostawał urlop zawsze na święta prawosławne, ale mówił oczywiście po polsku. Lokaj był przede wszystkim do dyspozycji wuja. Zajmował się garderobą wuja, sprzątał jego pokój oraz pokoje recepcyjne (salon i salonik) i kancelarię. W sprzątaniu pomagała mu służąca, która pracowała też na co dzień z Barbarą. Mikołaj zajmował się kredensem i podawał do stołu.

Kredens to było pomieszczenie obok jadalni do przechowywania naczyń i przygotowywania drobnych posiłków, w kredensie lokaj przygotowywał popołudniową kawę i herbatę. Był tam też zlewozmywak i nieduża kuchenka na węgiel gdzie podgrzewano jak coś ochłodziło – na przykład zupa – jak się państwo nie zebrali w porę

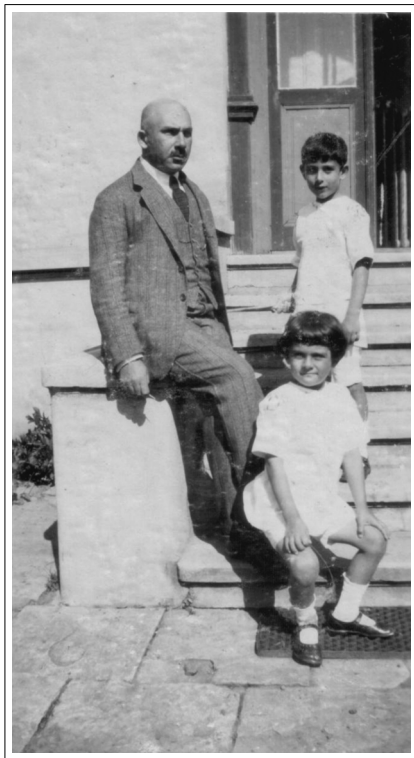
na posiłek. Ponieważ ciocia wstawała około 8:30 i jadła śniadanie w swoim pokoju, to pokojówka kawę dla niej przygotowywała w kredensie i przynosiła do łóżka.

Kuchnia była w oficynie, poza głównym budynkiem. W kuchni gotowano obiad i kolację. Trzeba było przynieść wszystkie potrawy z kuchni, w kredensie przygotować do podania na stół w jadalni, rozdzielić na półmiski. Dla służby też się gotowało w kuchni. Służba miała obok kuchni swoją dużą jadalnię. To nazywało się „drugi stół”. Potrawy tam podawane były prostsze, bardziej lokalne: kasze, mamąłgi, pierogi i tym podobne. Nieraz biegałam tam na te pierogi, bo były bardzo smaczne. W oficynie były też pokoje dla służby i spiżarnie.

Mikołaj, który do sprzątania nosił fartuch w niebieskie prążki, do podawania do stołu w jadalni przebierał się w granatową liberię i białe rękawiczki. Poza tym zajmował się również zastawą stołową – porcelaną, srebrem stołowym i białą stołową.

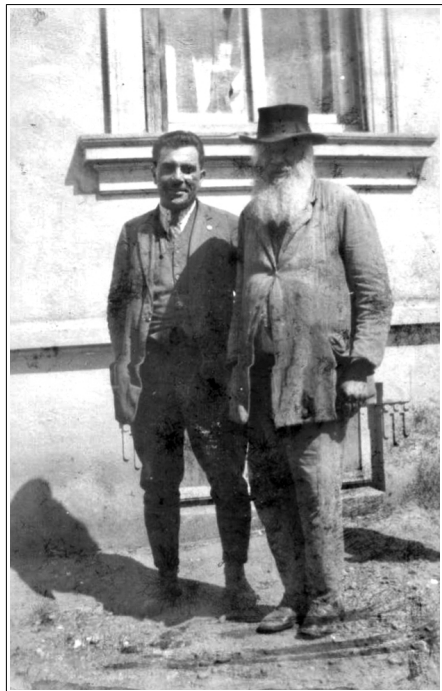
Do niego oczywiście należało nakrywanie do posiłków, bez względu na to, czy do stołu zasiadało dziesięcioro domowników czy trzydzieści osób. Lokaj miał też do pomocy chłopca kredensowego.

Obok kredensu była podręczna spiżarnia delikatesowa, do której klucze miała ciocia. Koło 10 rano przychodził kucharz w białej czapie i czekał pod spiżarnią. Wtedy odbywała się narada z kucharzem, co dzisiaj będzie na obiad i na kolację. Zależało, czy był to zwykły skromny, codzienny obiad, czy raczej wystawny, bo przyjeżdżali goście. W spiżarni też



**Witold, Janusz i Sławek
Krzysztofowiczowie, 1923**

przechowywano dżemy, cukry, przyprawy i inne delikatesy. Jak ciotka była w spiżarni, to ja tam wpadałam i zawsze dostawałam jakieś rodzynki, albo migdały. Zaopatrzeniem dworu w różne frykasy i delikatesy zajmował się Żyd faktor, który to wszystko przywoził z miasteczka. Nazywał się Lejzor.



Żyd Lejzor i szofer Krzysztofowiczów

Obchodzono też w Karapczyjowie różne uroczystości i święta, a w karnawale organizowano bal. Jak Litka dorosła, to organizowano bale, wieczorynki lub uroczyste kolacje na 20-30 osób. Zimą, zwykle koło Bożego Narodzenia, w karapczyjowskich lasach organizowano polowanie. Wtedy zjeżdżało się duże towarzystwo, przeważnie panowie, były czasem ze dwie panie, które polowały. Niektóre panie towarzyszyły myśliwym i stały koło nich w czasie polowania „na szczęście”. Przyjeżdżała też pani starościna Fedorowicz żona starosty z Buczacza. Ona była mistrzynią, świetnie strzelała. Na polowanie na kilka dni także przyjeżdżał mój ojciec, który pracował w Buczaczu jako powiatowy inspektor rolniczy.

Ciotka Munia oprócz tego, że była panią domu, to cztery razy w tygodniu przyjmowała chorych. Jak wstała rano, to chorzy już czekali, to byli najczęściej biedni wieśniacy. Ciotka Munia, zanim wyszła za mąż, przygotowywała się do studiów medycznych we Lwowie. Obie siostry (Maria i Wiktoryna) najpierw kończyły szkołę Sacre Coeur we Lwowie. Niestety nauki pobierane w szkole sióstr Sacre Coeur były na niższym poziomie niż licea realne, nie mówiąc o maturze gimnazjalnej i nie dawały możliwości wstępu na uniwersytet nawet w charakterze studentki

nadzwyczajnej. Uważano wtedy, że kobieta ze sfery ziemiańskiej raczej powinna wyjść dobrze za mąż, a edukacja wyższa nie była im potrzebna do bycia panią domu i zarządzania gospodarstwem domowym. Panienki kończyły zazwyczaj nauki na domowej edukacji lub szkołach średnich, często prowadzonych przez zakonnice. Aby móc studiować medycynę, Munia zdecydowała się chodzić na dodatkowe kursy gimnazjalne i zdać wymaganą maturę. Jednocześnie pracowała jako wolontariuszka w szpitalach, asystując nawet przy operacjach. Lekarze znali ją i doceniali jej umiejętności. Bardzo chciała studiować i musiała dorobić dużą część programu szkoły państwowej, aby móc zdać wymaganą maturę, a potem egzaminy. Pracowała ciężko cały rok, aby dobrze przygotować się do studiów, ale w międzyczasie pojawiło się dwóch panów Krzysztofowiczów – których mój dziadek Dionizy Zawadzki uznał za dobre partie dla swoich córek. Chciał on zabezpieczyć byt córek i znaleźć im odpowiednich partnerów życiowych. Henryk często bywał na spotkaniach i herbatkach u Zawadzkich, bo stale mieszkał we Lwowie, gdzie miał dwie kamienice i piękne mieszkanie, a Załucze miał wydzierżawione. Od dawna zabiegał o względy starszej siostry Wiktoryny, zaś jego starszy brat Witold mieszkał dość daleko – w Karapczyowie i tylko od czasu do czasu zajeżdżał do Lwowa. Za którymś razem przyszedł z Henrykiem na podwieczorek do Zawadzkich i zakochał się od pierwszego wejrzenia w Marii. Bardzo szybko zdecydował się i oświadczył. W tym samym niemal czasie również Henryk poprosił o rękę Wiktoryny (Luni), która dość prędko się zdecydowała na małżeństwo. Dziadek Dionizy – po rozpoznaniu sytuacji – zaczął namawiać młodszą córkę Munię, aby także zdecydowała się na małżeństwo. Kandydat był znanym, zamożnym ziemianinem, który mógł zapewnić swojej przyszłej rodzinie spokojną, stabilną przyszłość. Ciotka Munia jednak chciała studiować medycynę. Tak więc, te nagłe oświadczenia Witolda, którego jeszcze stosunkowo mało знаła, przekreślały jej naukowe plany i ambicje. Ciotka Munia wahała się i namyślała – chociaż opinie jakie jej donoszono o jej „przyszłym” były bardzo dodatnie. Także ojciec – Dionizy Zawadzki namawiał ją na to małżeństwo, chcąc jeszcze za swojego życia wydać za mąż dorosłe córki i to tak aby miały byt zapewniony.

Ślub obu par odbył się we Lwowie 7 lutego 1914 roku, w dwóch obrządkach – rzymskokatolickim i ormiańskokatolickim. Uroczystość była prowadzona przez dwóch arcybiskupów: Teodorowicza – arcybiskupa ormiańskiego i Twardowskiego – arcybiskupa obrządku łacińskiego.

Później, już w domu karapczyjowskim, ciotka stale zajmowała się chorymi. Miała wyznaczone dni, w których przyjmowała chorych ludzi ze wsi. Założyła domową apteczkę, kupowała lekarstwa. Odbywało się to w pomieszczeniu za kredensem, przy wyjściu kuchennym. Dosyć dużo ludzi przychodziło po pomoc – ciągle były jakieś skaleczenia, albo się ktoś czymś zatrzał. Zazwyczaj przychodzili biedni ludzie ze wsi, a to z ranami, a to z jakimś bólem, z chorymi dziećmi, a ona im pomagała jak mogła. Oczywiście, gdy zauważyła, że coś jest poważniejszego, to dawała pieniądze i kierowała do miasteczka do lekarza. Lekarza trzeba było opłacić, nie było żadnych ubezpieczeń. Różnie z tym leczeniem bywało – pamiętam doskonale jak przychodził, co dwa tygodnie taki Hucuł, lokalny robotnik rolny i mówi, że w „sередynie” (w środku) coś go boli. Ciotka, która dobrze знаła tego pacjenta, zwracała się do lokaja – „Mikołaju proszę nalać setkę spirytusu”. Mikołaj przynosił na tacy setkę spirytusu, „chory” wypijał, dziękował za lekarstwo, całował w rękę i szedł. Za tydzień czy za dziesięć dni znowu się pojawiał z tym samym problemem. Ale były też bardziej poważne dolegliwości, na przykład ktoś uciął palec, to ciotka go opatrywała, bo miała wszystkie potrzebne medykamenty pierwszej pomocy medycznej. Z czasem ja także asystowałam ciotce. Stale też przychodziły jakieś gazety ze Lwowa, także przez znajomych doktorów coś dostawała. Bardzo ją to interesowało. Moja mama z kolei w czasie pobytów w Karapczyjowie prowadziła na tej werandzie szkółkę dla dzieci fernali i służby. Uczyla je czytać i pisać po polsku, rachunków i historii Polski. W zasadzie było to też takim niepisanym obowiązkiem dziedzica – wspomagać ludzi ze wsi w nauce i w chorobach. Przeważnie wszystkie dwory tak robiły.

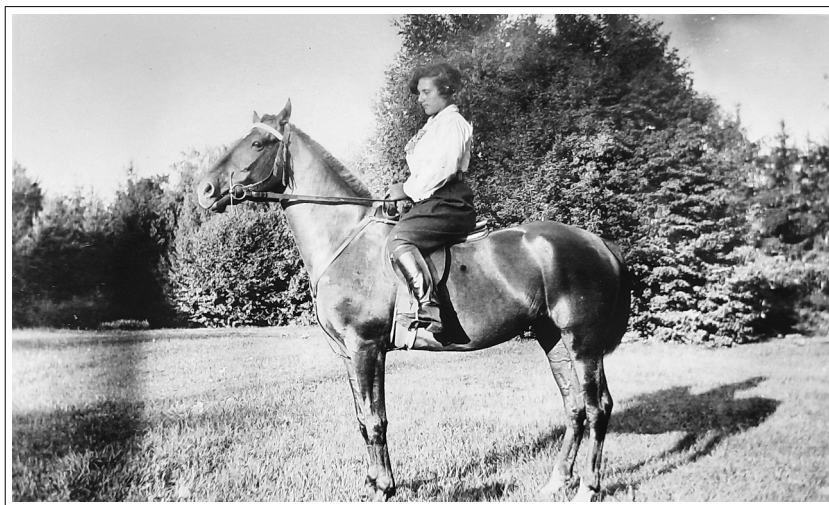
Wracając do służby. Skończyliśmy na lokaju Mikołaju, który miał do pomocy chłopca kredensowego. Chłopiec kredensowy zajmował się zmywaniem porcelany stołowej, czyszczeniem sreber,

przynosił potrawy z kuchni i froterował podłogi. Froterował wszystkie podłogi: w jadalni, salonie, saloniku – wtedy robiło się to woskiem, nie było past. Mikołaj grzał na kuchni wosk z benzyną i tą miksturą przecierało się podłogi, które potem trzeba było do błysku wyfroterować. Chłopak miał na nogach dwie szczotki, na których jeździł dwie godziny po salonie, żeby podłoga dobrze błyszczała.

Oprócz służby domowej, jedną z najważniejszych osób był stangret Giorgi – Ukrainiec mówiący dobrze po polsku. Zajmował się on tzw. stajnią wyjazdową, gdzie były: dwa konie powozowe, kuc Litki – Flirt oraz rasowe konie Litki pod wierzch – kłacz i ogier. Wyjazdowe konie też się nadawały do wierzchu. Jak w lecie było więcej amatorów jazdy konnej – to wyjeżdżano we trzy, cztery konie, w tym konie dobrane z pary tzw. powozowej. Stangret miał do pomocy chłopca stajennego. Stangret oczywiście powoził końmi i zajmował się powozownią, w której była bryczka, dwa powozy – jeden dla wuja, a drugi – o wiele bardziej zadbane – dla ciotki Muni. Był też kocz do polowań i linijka taka maleńka i 3 pary sań. Wszyscy Giorgija bardzo lubili, choć miał swoje wady, bo lubił się napić, ale wszyscy mu to jakoś wybacжали. Nieraz wuj Witold groził, że go zwolni, ale zawsze ciotka się wstawiała za nim i zostawał. Stajnię najwięcej zajmowała się i rządziła Litka, bo lubiła to od dziecka i się na tym знаła. Później zresztą skończyła szkołę rolniczą w Dublanach koło Lwowa. Do końca życia hodowała konie, nawet już mieszkając w Kanadzie.

Litka zawsze narzekała, że wuj nic nie obchodziło, czy para koni do bryczki była dobrana, czy nie – jeden większy, drugi mniejszy, jeden łaciaty, drugi kary. Wuj zaś mawiał – „mnie jest wszystko jedno jakie one są, byle były nakarmione i dobrze robiły”. Wuj miał taką zgrabną bryczkę, lubił sam powozić. Posyłał chłopca z kredensu, aby zaprząć dla niego konie. Stajenny podjeżdżał pod ganek, ale wuj go odsyłał do stajni i sam jechał w pole, sprawdzić jak idą prace. Nie pamiętam żeby jeździł konno. Ciocia, jak wyjeżdżała w sąsiedztwo lub na zakupy, wymagała, aby stangret był porządnie ubrany, więc był zawsze w granatowej liberii i miał piękny bat z bambusa. Jak stangret jechał z wujem, to jechał w kapocie i w kapeluszu takim byle jakim, a bat był zrobiony z kawałka olszyny. Wujowi było to obojętne. Ale jak ciotka jechała, to musiało być

wszystko bardzo porządnie. Witold miał tylko polskie obywatelstwo i właściwie nie umiał po rumuńsku. Co tydzień też jeździł do Polski.



Maria (Litka) Krzysztofowicz na ogierze Hugo, 1931



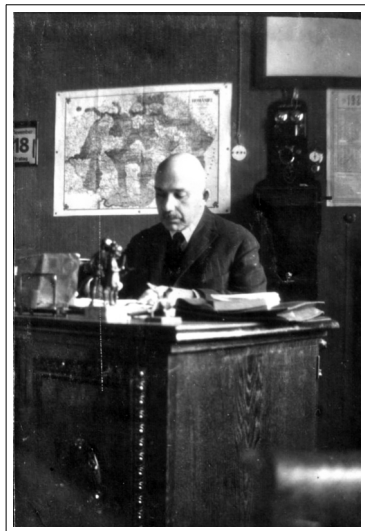
Maria (Litka) w swoim żywole, ok. 1930

Wszyscy celnicy go znali i z jednej i z drugiej strony. Miał stałą przepustkę na przejazd przez granicę, bo miał część majątku po drugiej stronie granicy w Polsce. Jechał bryczką przez bród na Czeremoszu.

Dzień w karapczyjowskim dworze zaczynał się tak: wuj wstawał o 6:00 rano, lokaj już czekał z ubraniem, z wyczyszczonymi butami. Wuj śniadanie jadał w jadalni, tam już od świtu był z boku na stoliku nastawiony samowar i do jakiejś jedenastej mrucał i bulgotał wodą. Była przygotowana kawa i herbata. Paniom, a szczególnie mężatkom pokojówka zanosila śniadanie do sypialni. Taki był zwyczaj. Jak siostry wuja Witolda – panie Potocka i Łosiowa przyjeżdżały na wakacje, to oczywiście także dostawały śniadanie na tacach w pokojach. Natomiast panowie i młodzież zawsze schodzili na śniadanie do jadalni.

Przyjeżdżali także na wakacje rozmaici znajomi wuja, między innymi kolega wuja z Wiednia o nazwisku Reinoltz. Prowadzili z wujem długie rozmowy w języku niemieckim, którym wuj doskonale władał. Często te męskie spotkania odbywały się w kancelarii. W kancelarii było duże biurko wuja, wisiał telefon, jeszcze taki z tubką i korbką, którą kręciło się i zgłaszała się centrala. W kancelarii była też kanapa i fotele z okrągłym stolikiem, a jedną ścianę zajmowała biblioteka. Wuj miał przepiękne książki, bo lubił literaturę, począwszy od greckiej i łacińskiej, a skończywszy na rozmaitych wydawnictwach rolniczych. Ciągłe też przychodziły zaprenumerowane czasopisma, przeważnie niemieckie z Wiednia, ale też polskie ze Lwowa. W ogóle Witold był zainteresowany nauką. Miał skończoną wyższą szkołę rolniczą we Wiedniu. Lubiał bardzo dużo czytać, z różnych dziedzin, także dużo filozofii. Czasem moja mama, którą także te tematy interesowały, zachodziła do kancelarii i nieraz długo dyskutowali na temat przeczytanych książek. Rzadko kto z domowników miał wstęp do biblioteki, z tego co wiem, chłopcy też nie, chyba że jak byli starsi i potrzebowali coś do swoich studiów. Wtedy musieli zgłosić się do wuja po potrzebną książkę.

Chłopcy byli trzymani dosyć krótko, mieli profesora i właściwie on się nimi cały dzień zajmował. Najpierw odbywali lekcje, odrabiali zadania, potem często szli na wycieczkę. Później dopiero



Witold Krzysztofowicz podczas pracy w kancelarii

mieli czas wolny. Sławek na przykład lubił las i myślistwo, brał rower i jechał do lasu, a Janusz, jak już był starszy, uwielbiał motory, miał swój motor chyba BMW. Był zagorzałym motocyklistą.

Przez krótki czas był w Karapczowie samochód marki Buick i był zatrudniony kierowca. Auto było do dyspozycji wuja i ciotki. Ale w którymś momencie wuj powiedział, że potrzebne są pieniądze na inne wydatki, a Buick i szofer dużo kosztują, wobec tego sprzedał auto i szofera też już nie było.

Wracając do dnia powszedniego. Chłopcy mieli swój duży pokój, na środku stał wielki stół. Wstawali dość wcześnie i o 8:00 zasiadali w swoim pokoju do

lekcji. Przerabiali w domu cały materiał szkolny, i wydaje mi się, że jeździli do Lwowa zdawać egzaminy eksternistyczne. Bo przecież musieli mieć jakieś świadectwa. Uczył ich profesor licencjonowany, wspomniany Fąfara. Potem do gimnazjum poszli do Lwowa, gdzie mieszkali na stacji i chodzili chyba do dziesiątego gimnazjum. Litka, po nauce w domu była najpierw w gimnazjum Sacre Coeur we Lwowie, a potem poszła na studia rolnicze do Akademii Rolniczej w Dublinach. Litka miała dostać w posagu tę część majątku ojca, która znajdowała się po polskiej stronie granicy, w Załuczu.

Po polskiej stronie, w Załuczu Dolnym (Załucze dzieliło się na Górne i Dolne) mieszkał brat Witolda Henryk żonaty z drugą siostrą mojej mamy Wiktoryną (Lunią) Zawadzką. Na początku mieszkali w niedużym przepięknym modrzewiowym dworku, który jednak był ciasny, choć bardzo przyjemny i ciepły. Ale Henryk lubił przepych, dlatego szybko zdecydował się na budowę nowego, okazałego pałacu z wielkim kolumnowym portykiem i weneckimi oknami. Pałac był duży, z pokojami w amfiladzie i holem przez dwa piętra, ale bardzo zimny. Ciotka zawsze chodziła pozawijana w dwa moherowe szale. Wnętrze pałacu także było wyposażone bardzo

bogato. Na budowę potrzebował oczywiście dużo pieniędzy, więc część swojego majątku sprzedał bratu Witoldowi, któremu to odpowiadało, bo miał od razu dwór modrzewiowy dla córki i hektarów pewnie z 300-400. Teraz w pałacu w Załuczu znajduje się dom dziecka.



Buick Krzysztofowiczów był na Bukowinie wielką rzadkością. Janusz z szoferem, lata 20. XX w.

Wróćmy jednak do porządku dnia w Karapczyjowie. Po śniadaniu wuj szedł do kancelarii, albo wyjeżdżał, a ciotka zajmowała się chorymi, gospodarstwem domowym i ogrodem. O godzinie 13:00 wszyscy schodzili się na obiad. Na balkonie przy kredensie był wielki gong, wychodził chłopak kredensowy i bił w ten gong. Było go słychać na jakieś 3 km od domu. Tak że nieraz jak się było dość daleko w polu, albo jak ja chodziłam z niańką na spacer nad potok, to ona mówiła: „Krysiu, obiad za chwilę, wracamy”. Było pół godziny czasu od gongu do obiadu, bo do obiadu trzeba się było przebrać. Czasem jak Litka przyszła spóźniona, w bryczesach, bo jeździła konno, ciotka się tylko popatrzyła: „Litko jesteś nieodpowiednio ubrana”. Za 10 minut Litka przychodziła w sukni. Nie wolno było w niedbałym czy brudnym stroju przyjść do jadalni.

Na śniadanie to było bardzo różnie. Wuj bardzo skromnie jadł, pił herbatę i jakąś wędlinę jadł domowej roboty oczywiście



Stary dworek Krzysztofowiczów w Żałuczu, 1926

i wszystkie możliwe konfitury. Wuj jak to Ormianin, bardzo lubił żeby było w domu dużo najrozmaitszych konfitur i słodczy, tak że kucharz musiał się naprawdę starać. Jak przyjmował kucharza do pracy – opowiadano mi, że wuj przeprowadził prawdziwy egzamin: „Proszę zrobić 30 różnych konfitur i 30 różnych gatunków lodów”.

Ten kucharz, co go pamiętam, umiał zrobić tyle różnych słodczy i tyle rodzajów lodów, że każdego dnia w miesiącu były inne lody.

Było też drugie śniadanie, nieobowiązkowe. W pokoju jadalnym stał zazwyczaj półmisek parującej, obróconej do góry dnem mamałgi, odpowiednio zrobionej (ja już nie potrafię zrobić dobrej mamałgi).



Wnętrze starego dworu Krzysztofowiczów □
w Żałuczu, 1930



Nowy dwór w Załęczu budowany był z rozmachem, 1931



Dwór Henryka Krzysztofowicza w Załęczu, późne lata 30. XX w.

To była wbrew pozorom potrawa trudna do zrobienia, bo trzeba było trafić tyle mąki, ile pary było w garnku. Stała więc ta mamałyga, śmietana, ser i kwaśne mleko w garnuszkach. Kto chciał to przychodził i jadł. Chłopcy często przychodzili jak skończyli lekcje, albo wracali głodni z wyjazdów rowerowych.

Obiad zwykły codzienny składał się z trzech dań. Przy podługnym stole siedziało się na około, ciotka siedziała po jednej stronie stołu, na drugim końcu naprzeciwko było miejsce wuja. Następnie osoby siedziały po starszeństwie: dwie siostry ciotki, dwie siostry wuja, córki siostr Witolda, bratankowie, synowie, a na samym końcu siedziały ja i wuj. Podawano różne zupy, na drugie danie kartofle lub zapiekanki, i do tego jarzyny były podawane na osobnym półmisku. Podawano mięso, bardzo często drób: indyki, perliczki, gęsi, kaczki. A chłopcy jeszcze czasem strzelali gołębce polne i wróble, czego kucharz bardzo nie lubił, bo trzeba było tych ptaków ze 20 sztuk, żeby coś było na półmisek położyć, bo to maleńkie po upieczeniu się robiło i dużo pracy ze skubaniem było. Ale od czasu do czasu były. To tego był kompot, ciasto i lody.



Janusz Krzysztofowicz, lata 20. XX w.

Po obiedzie Witold przeważnie do podwieczorku pracował w kancelarii. Drzwi były przymknięte i właściwie za wyjątkiem mnie, nikomu nie wolno tam było wchodzić. Ja tam wchodziłam jak byłam całkiem mała, lubiłam czasem cichutko posiedzieć, czasem wyciągałam jakiś wielki album. A wuj na mnie patrzył zza okularów. Właściwie ja jedyna miałam wstęp do wuja, nawet rodzone dzieci nie mogły wchodzić do kancelarii.



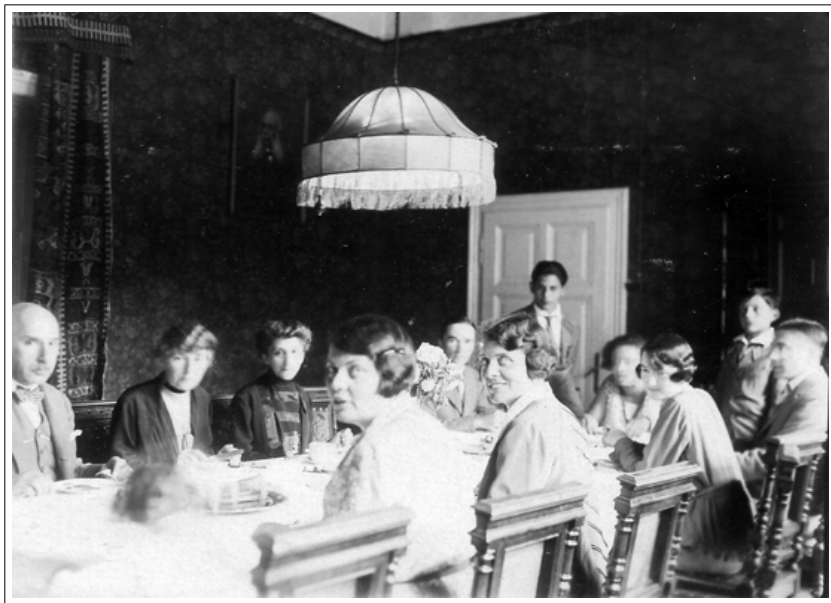
Maria Krzysztofowiczowa w saloniku

Po południu podawany był podwieczorek, nie w jadalnym pokoju, tylko w małym saloniku. Na wielkiej tacy była przygotowana herbata, czarna kawa i przeważnie jakieś ciasteczka i ptifurki, a w salaterkach dwie, trzy konfitury. Ja się zawsze do cioci podsuwałam i dostawałam tzw. „kanarka”. Cukier był wtedy w kostkach, ciotka brała kostkę cukru i maczała w mocnej czarnej kawie i dostawałam taki cukierek. Jakie to było pyszne. Nie wiem dlaczego to się nazywało kanarek.

Kolacja była skromniejsza, bo składała się z jednego dania. Często podawano kaszę lub makaron, czy też różne zapiekanki z jarzyn, albo jakieś suflety. Panie piły przeważnie herbatę, a dla chłopców stało przygotowane kwaśne mleko –

po dwie szklanki. Ja zawsze dostawałam świeżą śmietankę, bo uważano, że za chuda jestem.

W Załuczu kuchnia i spiżarnia była zarządzana przez wuja Henryka, a gotowała kucharka. Wuj ustalał menu na każdy dzień, ciocia Lusia się tym nie zajmowała. Wuj jak typowy Ormianin lubił wszelkie słodkości i oczywiście konfitury. Do dziś pamiętam robione w Załuczu bardzo słodkie rachatlukum z miodu i orzechów, a może migdałów. Było też więcej specjałów kuchni ormiańskiej, na przykład



Rodzina Krzysztofowiczów w jadalni w Karapczyowie

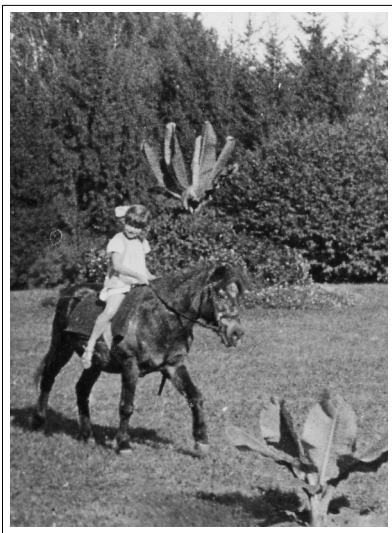
zupa churutowa i różne nadziewane mięsem pierożki. Churut z przeznaczeniem na zupę lub przyprawę do potraw przygotowywano także w Karapczyowie. Robiło się to z końcem sierpnia, bo wtedy do dyspozycji była świeża zieleń – liście pietruszki i selera, które kisiło się w mleku czy w maślanie, mielilo i suszyło. Wszystko to oczywiście z dodatkiem różnych ziół i nasion nasturcji. Na koniec gotowano tę masę tak długo, aż dało się z niej formować małe stożki. Ja churut robiłam jeszcze parę lat temu, już w Krakowie. Zupa churutowa przypominała trochę zupę szczawiową, ale była mniej kwaśna i bardziej aromatyczna.

Dokumentacja gospodarstwa w Karapczyowie była drobiazgowo prowadzona. Świadczy o tym historia z kucem Flirtem, który był własnością córki Witolda Litki. Na tym kucu Litka uczyła się jeździć, a kiedy potem miała już swoją dużą klacz, to ja jeździłam na Flircie. On był tak oswojony, że chodził po parku luzem. Flirt był gruby jak beczka i strasznie łakomy. Więc kiedyś – miałam może 6 lat – przysłam z wiaderkiem dziecinny do kancelarii i wujowi

powiedziałam: „Biedny Flirt jest bardzo głodny!” – i poprosiłam o owies. Wuj kazał mi osobiście zapisać ten owies w rejestrze, i ja takimi kulfonami w księdze rozchodów napisałam: „Jedno wiaderko owsa dla Flirta” – i podpisałam się. Wuj wystawił kwit z pieczętką i ja z tym kwitem poszłam do gumiennego, który miał klucze od magazynu i wydał mi wiaderko owsa. Tak skrupulatnie było prowadzone całe gospodarstwo. Gospodyni Barbara też przychodziła do wuja, stawała w drzwiach i mówiła: „Proszę Jaśnie Pana potrzebuję zboża dla drobiu”. Wypisywał kwit, a ona szła do gumiennego, który wydał jej zboże. Kurniki znajdowały się na zapleczu oficyny.

Po sąsiedzku były duże posiadłości, niedaleko było i tam się czasem jeździło powozem z wizytą. Wuj nie jeździł, tylko ciotka i moja mama i czasem mnie zabierały. Była między innymi rodzina hrabiów Della Scala, arystokratyczna rodzina rumuńska, mieszkająca w zamku w pięknej posiadłości. Pani Della Scala z domu księżniczka zu Sayn-Wittgenstein była spokrewniona z królową rumuńską. To była bardzo duża piękna posiadłość. Oni mieli jedną córkę, starszą ode mnie. Nie lubiłam jakoś tam jeździć, bo trzeba było być bardzo grzecznym i bardzo sztywnym.

Ja miałam w Karapczyjowie swój pokój, swoje rzeczy, ubrania, zabawki i swoją niańkę. Nawet potem jak byłam już starsza, moja niańka została pokojówką i dalej zajmowała się moim pokojem i moją garderobą. Jak zaczęłam chodzić do szkoły, to przyjeżdżałam do Karapczyjowa na wakacje. Byłam w internacie, w szkole sióstr Niepokalanek w Niżniowie, a potem w Jazłowcu. Na wakacje nie wracałam do swojego domu w Buczaczu, tylko pakowałam się



**Krysia (Krystyna Wiecefffińska)
na Flircie, ok. 1931**

do małej walizki, którą mam do dnia dzisiejszego i od razu jechałam do Karapczyjowa. Zazwyczaj jedna z sióstr zakonnych odwoziła mnie do Stanisławowa na pociąg. Tam zajeżdżał pociąg ze Lwowa do Budapesztu, i w wagonie, w oknie stał mój kuzyn Sławek i zabierał mnie od tej zakonnicy. Jechaliśmy tak aż do Śniatyna, gdzie na peronie czekała na mnie siostra mojej mamy, żona Henryka – ciocia Lunia i zabierała mnie do siebie do Załucza.



Rodzina i krewni podczas przejażdżki, Karapczyjów lata 30. XX w.

W Załuczu spędzałam zazwyczaj około tygodnia, zależy jak się ułożyło. Lubiłam tam być, bo właściwie wszystko mi było wolno. Ciotka Lunia straszliwie mnie rozpieszczała. Zaraz po moim przyjeździe zabierała mnie na zakupy do Kołomyi lub Śniatyna, i tam zazwyczaj dostawałam jakąś śliczną sukienkę i czarne lakierowane pantofelki. Bo ja przyjeżdżałam prosto ze szkoły od sióstr Niepokalanek i miałam na sobie tylko mundurek. Tak wystrojona jeździłam z ciotką Lunią na rozmaite wizyty – do Jaruzelskich, do Cybulskich do Kniaża i Załucza Górnego. Tam też raz czy drugi, spotkałam braci Cybulskich, Zbyszka i Antka. Oni byli młodszy ode mnie, ale jakoś nie pamiętam żebyśmy się razem bawili. A poza tym, byłam bardzo dumna, bo mi pokojówka przynosiła śniadanie do łóżka,



**Uczennice w ogrodzie klasztornym Sióstr Niepokalanek w Niżniowie.
Pierwsza z lewej Krystyna Wieczfłńska, 1935**

czego w Karapczyjowie nie wolno było i musiałam wstawać i siadać do stołu. Przynosili mi nawet prawdziwą kawę ze śmietanką, czym byłam zdumiona, ale tak wuj zarządził.

Poza tym fascynowały mnie te wszystkie portrety i niesamowite ilości dywanów perskich i kryształowe żyrandole. Wuj Henryk kochał przepych. Ciotka Lunia przepięknie haftowała i mnie też uczyła haftować. Sama też wyszywała przepiękne makaty z motywami kwiatowymi. A poza tym, to robiłam, co chciałam. Często z ciotką przebywałam w ogrodzie, bo ona bardzo lubiła kwiaty i zajmowała się zakładaniem ogrodu przy nowo wybudowanym pałacu. Obok pałacu była też oranżeria.

Czasem do Załucza przyjeżdżał syn wujostwa Antek, który studiował w konserwatorium we Lwowie i wtedy grał na fortepianie ze dwie, trzy godziny, aż się po całym domu roznosiło. Jak nadchodził moment, że miałam



**Autorka wspomnień z Wiktoryną
(Lunią) z Zawadzkich Krzysztofo-
wiczową w Załuczu, 1931**

jechać do Karapczyjowa do wujostwa Witoldów, to zazwyczaj byłam przemycana przez granicę, bo nie miałam paszportu ani żadnych papierów. Komendantem straży granicznej polskiej na granicy rumuńskiej był wtedy porucznik Bolesław Mościcki, bratanek naszego prezydenta. Bardzo się kochał w jednej z siostrzenic wuja Witolda, ale komendant straży granicznej to było za mało dla bogatej ziemiańskiej rodziny. Wprawdzie miał na pewno niezłe uposażenie, ale miał za niski status, nie posiadał żadnego majątku. Był bardzo przystojny, wesoły i lubiany w towarzystwie. Mam do dziś dnia jego wpis w pamiętniku. No więc jak ja byłam u wujostwa Henryków w Załuczu, a Mościcki przyjeżdżał z wizytą, to często proponował, że zawiezie mnie do Karapczyjowa. Jak z nim jechałam bryczką to polscy celnicy tylko zasalutowali, a rumuńscy celnicy też go znali, więc nikt nas nie kontrolował. Na mnie nikt nie zwracał uwagi. Zawoził mnie do dworu, zostawał na obiedzie i wieczorem wracał. Czasem też było tak, że przyjeżdżała ciocia Munia dużym powozem, ze stangretem. W powozie była taka duża derka (rodzaj koca) z tyłu, więc jak przejeżdżaliśmy przez granicę to się kładłam na siedzeniu i ciotka nakrywała mnie tą derką. Do powozu podchodził celnik (ciocia nigdy nie wysiadała), sprawdził dokumenty i zaraz nas przepuszczał, bo bardzo dobrze znał lokalnych ziemian i wiedział, że pani Krzysztofowiczowa jeździ często do swojej siostry do Załucza. Ciocia nie znała rumuńskiego, rozmawiała z nimi po niemiecku. To też taka cicha umowa była – raz na jakiś czas wuj posyłał dla celników spirytus własnej produkcji. Bo Krzysztofowiczowie mieli bardzo dobrą gorzelnię razem z rafinerią spirytusu. Spirytus najlepszy na Bukowinie pochodził właśnie z Karapczyjowa. Co to było dziesięć flaszek posłać dla celników? Opowiadał mi mój kuzyn Janusz Krzysztofowicz już po wojnie, że w latach sześćdziesiątych spotkał na południu Rumunii wagon z napisem „Karapczyjów, Krzysztofowicz, spiritus itd.”. Gorzelnia karapczyjowska miała własne wagony do przewożenia tego spirytusu.

Całe gospodarstwo było na bardzo wysokim poziomie. Jak rodzony brat Witolda Marian przyjeżdżał, to mówił: „Do ciebie do stajni to można iść w sukni balowej, bo tak porządnie jest wszystko wymiecione”. Marian mówił, że u niego liczy się tylko waga i pieniądz.



Chlewnia na folwarku w Karapczyjowie, 1926



Obora na folwarku w Karapczyjowie, 1926

Rzeczywiście był bardzo nastawiony na handel, na zysk, był bardziej biznesmenem. A Witold bardziej dbał o szczegóły. Rzeczywiście w obejściu, w oborze było idealnie wysprzątane. Zawsze były ze trzy, cztery dojarki, które cały czas sprzątały, krowy były czyste, sprzęt do dojenia umyty. Poza tym wuj w takiej bocznej uliczce od folwarku, która szła w stronę cegielni (bo w majątku była też własna cegielnia) budował co roku bliźniak, nieduży z pięterkiem. Takich bliźniaków

mieściło się po jednej stronie kilka. Była sieni i po drugiej stronie komora czy spiżarnia, a po drugiej stronie była kuchnia i jeden pokój. A z tej sieni były schodki i był jeszcze jeden pokój na strychu. A do tego przylegał z drugiej strony taki sam domek. Najlepszy stały pracownik dostawał taki domek w nagrodę za dobrą pracę. Witold Krzysztofowicz dbał o ludzi. Na przykład jak się na wsi spaliła chałupa i jak pogorzelnicy przyszli do niego – nawet niekoniecznie pracownicy – i prosili, że nie mają gdzie mieszkać, to wuj dawał kwit do leśniczego, żeby wydał tyle i tyle drzewa na budowę nowego domu. Pod tym względem był wyjątkowy. Nie wszyscy właściciele majątków tak traktowali ludzi, ale on uważał, że skoro ktoś dla niego dobrze pracuje, to musi być dobrze traktowany i wynagrodzony.

Boże Narodzenie w Karapczyjowie spędzało się bardzo rodzinnie. Dzień czy dwa wcześniej z lasu przywożono wielką choinkę – pewnie ze 2,5 do 3 metrów miała, bo była do samego sufitu i zajmowała dużo miejsca. Była tak duża, że moja mama razem z pokojówką we dwie cały dzień tę choinkę ubierały. Wtedy chłopcy, którzy byli dużo starsi ode mnie, ciągnęli mnie do drzwi sypialni wuja, które były zamknięte na klucz i mówili: „Wąchaj przez szparę czy aniołek już przyleciał czy nie”. Było bardzo wesoło.

Na choince było bardzo dużo ozdób robionych w domu, różne koszyczki, łańcuchy, ozdoby z wydmuszek, waty – pajacyki, bałwanki i zwierzątka. Te ozdoby to zdaje się robiła gospodyni Barbara i ktoś ze służby. Czasem też dołączała się do tych prac moja mama. Były też kupowane szklane bańki i całe mnóstwo czekoladek w lśniących kolorowych papierkach. Te czekoladki to chłopcy wyjadali tak sprytnie, że papierek zostawał na choince i wyglądało to jak nie-naruszony cukierek. Na święta przyjeżdżały siostry wuja z córkami, mój ojciec, bracia mojej mamy i ciotki Muni: Tunio (Wojciech) i Feliks, także zawsze było dość sporo gości, pewnie koło 20 osób. Stół w jadalni był świątecznie udekorowany gałązkami jedliny.

Kolacja wigilijna była bardzo tradycyjna: barszcz z uszkami (te uszka to musiały być malusieńkie jak paznokcie u kciuka!), co najmniej dwie, trzy ryby rozmaicie przyrządzane, jedna zawsze z sosem z jajek na twardo. Pieczony w całości wielki szczupak zazwyczaj miał w pysku małe jabłko rajske i gałązki jedliny.

Oczywiście na koniec wigilii był kompot z suszonych owoców i kutia z maku i bakalii.

Po kolacji wigilijnej lokaj dzwonił dzwonkiem, otwierały się wielkie podwójne drzwi do pokoju sypialnego wuja (bo choinka stała w pokoju sypialnym wuja) i wszyscy mogli zobaczyć ogromną, roziskrzoną światłami świec przepięknie udekorowaną choinkę. Po skończonej wigilii wszyscy przenosili się do salonu, gdzie serwowane były ciasta i kawa i były rozdawane prezenty. Ja oczywiście dostawałam mnóstwo zabawek, ale także jakieś ładne rzeczy do ubrania. Moja mama na przykład przywoziła zawsze dla wuja ogromne pudło czekoladek od Zaleskiego ze Lwowa, które wuj natychmiast otwierał i próbował kolejno różne smaki czekoladek. Rozdawano też zawsze prezenty służbie domowej. Te prezenty ciotka zamawiała zawsze kilka tygodni wcześniej w katalogach wysyłkowych firm ze Lwowa. Na przykład gospodyni Barbara dostawała materiał na suknię – ciotka się przez kogoś wcześniej wypytała, co by chciała dostać. Kucharz miał troje dzieci, więc dostawał coś dla nich, jakieś ubranie, sweter, czy coś podobnego. Były to raczej praktyczne prezenty, ale też dostawali książki, bo kucharz bardzo lubił czytać. Każdy z pracowników dostawał jakiś upominek. Taki świąteczny wieczór zawsze się trochę przeciągał, ale mnie niania zabierała spać, choć jeszcze długo już w swoim pokoju – bawiłam się swoimi prezentami.

Na drugi dzień, w pierwszy dzień Świąt Bożego Narodzenia jechało się saniami do Waszkowiec do kościoła, gdzie uroczystą mszę odprawiał ks. Zawadowski. Zazwyczaj jechały dwie lub trzy pary sań – zależnie od ilości osób. Pierwsze sanie to były sanie ciotki – czarne lakierowane ze złoceniami, konie miały paradne uprzęże z dzwonkami i ozdobne derki z monogramem cioci. W tych saniach jechała ciotka Munia, moja mama i ja. Do nakrycia się w saniach były baranice kryte granatowym wełnianym suknem. Potem jechały następne dwie pary sań z krewnymi. Wtedy zimy na Bukowinie były bardzo śnieżne i taka jazda to była wielka przyjemność. Po mszy w Waszkowcach, na obiad do Karapczyjowa przyjeżdżali z Załucza wujostwo Henrykowie z Antosiem, oczywiście też saniami, przez zamarznięty Czeremosz.

W drugi dzień Świąt pojawiał się kuzyn wuja – Oktaw Romaszkan i było to niesamowite widowisko, bo on przyjeżdżał saniami zaprzężonymi w trójkę koni w poręcz: środkowy kłusak miał na dudze ze 30 srebrnych janczarków, które z francuska nazywano „grelotami”. Konie te były świetnie dobrane, piękne kasztany, a środkowy kłusak miał wspaniałe ozdobne ogłowie. Już jak zaprzęg wpadał do wsi, to było słychać z daleka głośny brzęk janczarów i wiadomo było, że nadjeżdża Oktaw (który sam powoził tą trójką). Konie jak szalone wpadały na podjazd pod dwór tak, że Oktaw musiał zrobić ze dwa okrążenia zanim dał radę zatrzymać tę trójkę koni. Wszyscy zbiegali się zobaczyć ten niezwykle piękny, ale już bardzo rzadki w tamtych czasach zaprzęg.



Kulig w Karapczyjowie, lata 30. XX w.

Często też urządzano w Karapczyjowie kuligi, głównie dla młodzieży i dzieci. Za dużymi saniami z parą koni, w których siedziała ciotka i moja mama, przywiązanych było 6-7 małych sanek, a na nich kolejno cała karapczyjowska czy też przyjezdna młodzież. Ja zazwyczaj jechałam na końcu i moi kuzyni tak manewrowali sankami, że zawsze wywracali mnie do śniegu. To była świetna zabawa. Tak wyglądało życie w Karapczyjowie.

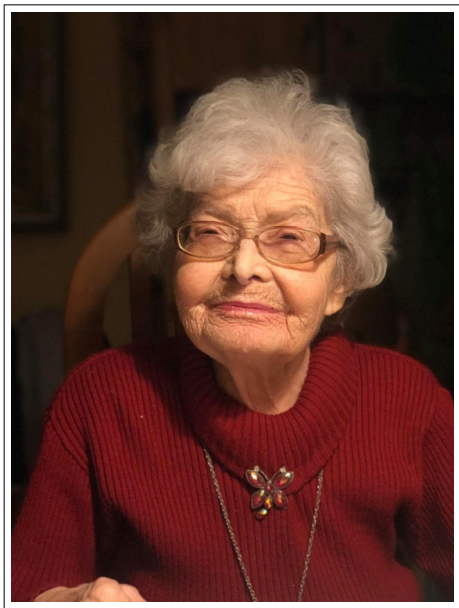
Ja po raz ostatni wyjechałam z Karapczyjowa do Buczacza z początkiem sierpnia 1939 roku. Od pierwszego września miałam ponownie rozpocząć rok szkolny w Jazłowcu u sióstr Niepokalanek. Wiele uczennic, szczególnie tych z zachodniej części Polski było już w internacie, ponieważ ich rodzice liczyli że Kresy południowo-wschodnie nie będą terenem walk. Stało się jednak całkiem inaczej.

W 1940 roku na Bukowinie pojawiła się armia bolszewicka i wtedy rodzina Krzysztofowiczów ewakuowała się po raz pierwszy w głąb Rumunii. Wcześniej Janusz i Sławek zostali zmobilizowani do Armii Rumuńskiej. W 1941 roku Bukowina została zajęta przez Rumunów i Niemców. W międzyczasie Krzysztofowicze powracali dwukrotnie do majątku. Za każdym powrotem odbudowywali zniszczony folwark i gorzelnię i starali się gospodarować. Na przełomie 1942 i 1943 roku rumuńska straż graniczna aresztowała wuja i Litkę za udział w przeprowadzaniu przez granicę polskich kurierów. Wykupiony z aresztu przez ciotkę Munię wuj na stałe wyjechał do Craiovej, daleko na południu Rumunii. Potem stopniowo dołączyła do niego cała rodzina. Z opowiadania mojego kuzyna wiem, że Karapczyjów opuszczono po raz ostatni w marcu 1944 roku. Ostatnia wyjeżdżała ciotka Munia samolotem z Czerniowiec do Craiovej w Rumunii. Nigdy już nie mieli powrócić do swojego domu.

Na Ukrainie po wojnie byłam wiele razy. Chyba w 1979 roku z córką Anią byliśmy w Karapczyjowie, jeszcze to było za Związku Radzieckiego. We dworze karapczyjowskim było biuro kołchozu. Dom był mocno zniszczony, ale jakoś się trzymał. Park i ogród – kompletnie zdewastowane, a folwark też był w dużo gorszym stanie.

Jak po wojnie w Rumunii nastał komunizm, Witold Krzysztofowicz wyjechał do Polski i zamieszkał w Krakowie. Przychodziły do niego listy na przykład od fernali pisane po ukraińsku, z prośbą o dokumenty potwierdzające, że pracowali na folwarku. To było im potrzebne do emerytury. Wuj taki dokument wypisywał – w jakich latach pracował, ile zarabiał i podpisywał wielką pieczęcią: „Dobra Karapczyjów nad Czeremoszem. Własność Krzysztofowiczów”. I komunistyczne władze w Rumunii to wszystko szanowały. On przywiózł z Karapczyjowa wszystkie księgi, do dziś

ma te książki w Ameryce jego wnuk Roman. Uratowało się szczęśliwie archiwum Krzysztofowiczów. Po wojnie było u Janusza w Cieszynie. Ale jak zmarł Janusz i jego syn Roman przyjechał ze Stanów to zabrał wszystkie papiery łącznie z meblami. Wiele rzeczy niestety przepadło.



Krystyna Wieczfińska-Janicka, 2020

Krzysztofowiczowie. Między historią a terażniejszością

Stefania Krzysztofowicz-Kozakowska¹

Wprowadzenie

Najstarszym dokumentem znajdującym się w archiwum rodzinnym Krzysztofowiczów, których gniazdem był Karapczyjów na Bukowinie, ocalałym pomimo wielu kataklizmów wojennych i losowych jest akt nominacji za zasługi Antoniego Krzysztofowicza na sekretarza króla Stanisława Augusta wydany w Warszawie w 1781 roku. Dokument napisany w języku łacińskim opatrzony pieczęcią lakową podpisany został przez króla Stanisława Augusta Poniatowskiego.

Ormiańska rodzina Krzysztofowiczów posługująca się herbem własnym Donabiet otrzymała według Adama Bonieckiego, autora *Herbarza polskiego* wydanego w 1899 roku, rozległe przywileje w 1629 roku od Zygmunta III Wazy, szlachectwo zaś w 1676 roku. Miał je otrzymać Iwaszko Krzysztofowicz, syn Kierkorowicza „Beznosego”.

Pierwsze wzmianki o rodzinie Krzysztofowiczów odnotowuje dominikanin Sadok Barącz w książce *Żywoty sławnych Ormian* wydanej we Lwowie w 1856 roku. Wspomina żyjącego w początku XVII wieku Grzegorza Krzysztofowicza, słuchacza filozofii w Zamościu, który należał do grupy dziewięciu poetów zwanych *Muzami*; pisał ody po łacinie. Znana była również jemu osoba Jana Krzysztofowicza, starszego sędów ormiańskich we Lwowie,

1 Urodzona w 1939 roku w Jasienowie Polnym w rodzinie Romana Krzysztofowicza i Franciszki de Oroszeny-Bohdanowiczówny. Absolwentka Instytutu Historii Sztuki Uniwersytetu Jagiellońskiego (1961). W 1976 roku obroniła pracę doktorską pt. *Wpływ sztuki ludowej na polską sztukę dwudziestolecia międzywojennego* pisaną pod kierunkiem prof. Mieczysława Porębskiego. Zawodowo związana z Biurem Wystaw Artystycznych w Krakowie, a następnie z Muzeum Narodowym. Kurator licznych wystaw sztuki polskiej, autorka książek i albumów, popularyzatorka wiedzy o sztuce.

właściciela kamienicy *Krzywe Koło*, który w 1651 roku był superintendentem ceł wszystkich Rzeczypospolitej poborów na Rusi.

Leon Theodorowicz, autor krótkiej rozprawy *Nieco o heraldyce i rodach ormiańskich* wydanej we Lwowie w 1925 roku podaje, iż szlachectwo uzyskała rodzina Krzysztofowiczów w 1676 roku, używali herbu własnego Donabiet. Od Jakuba, który przybył do Sere-tu w drugiej połowie XVIII wieku, zaczyna się drzewo genealogiczne rodziny. Miał pięciu synów: Greczuna, Zaruga, Wartana, Chaczeresa, Teodora. Jego wnuk – Jędrzej Krzysztofowicz, syn Chaczaryna urodzony w 1782 roku, był księdzem w Rosji, a pod koniec życia został kanonikiem mohylewskim. Potwierdzenie szlachectwa uzyskali 4 września 1791 roku w Jassach, zaś 13 lutego 1792 roku wcielono ich do Stanów Galicyjskich we Lwowie. Ponowne potwierdzenie uzyskane 12 maja 1883 roku powołuje się na Jana Krzysztofowicza ojca Waleriana oraz Mikołaja, którzy związani już byli wówczas z Bukowiną. Wówczas też w posiadaniu rodziny Krzysztofowiczów były dobra: Podsmyskowce, Czernichowce w tarnopolskim, Trybuchowice w czortkowskim, Jasienów i Nazurna w kołomyjskim, Karapczyjów i Załucze na Bukowinie.

Mikołaj Krzysztofowicz (według Bonieckiego) o przydomku Krzczuniak był ożeniony z Łucją, z którą miał: Dawida (ur. 1782), Jana (ur. 1783), Grzegorza (ur. 1784), Dominika (ur. 1788), Rypsmyę (ur. 1785). Wziął on w zastaw w 1798 roku od książąt Jabłonowskich Mariampol. Barącz odnotowuje Zachariasza Krzysztofowicza – starszego sądów ormiańskich w Kamieńcu Podolskim, Jerzego Krzysztofowicza – chorążego, Szymona doktora medycyny i filozofii, który około 1741 roku był znanym lekarzem we Lwowie i zapisał w testamencie tysiąc czerwonych złotych dla kościoła katedralnego ormiańskiego. Szymon Krzysztofowicz był około 1731 roku prokuratorem głównym Trybunału Koronnego w Kamieńcu Podolskim. Barącz wspomina również Mikołaja Krzysztofowicza (1707-1788) – duchownego ormiańskiego, wikarego stanisławowskiego i Szymona Krzysztofowicza (ur. 1729), który ukończył teologię w kolegium papieskim we Lwowie, w 1759 roku był diakonem kamienieckim, a w 1762 roku – proboszczem mohylewskim. Pod jego okiem kształcił się, również zdaniem Baracza i Bonieckiego

Józef Krzysztofowicz (zm. 1816) mianowany na biskupa mohylewskiego w Petersburgu 4 grudnia 1806 roku, a 28 marca 1810 roku zatwierdzony w Rzymie. Miał on dwóch braci: Józefa i księdza Grzegorza, proboszcza w Nawarji (zm. 1818), który pozostawił spadek swojej siostrze ciotecznej Apolonii Paschalisowej. Według Bonieckiego inny Grzegorz dzierżawił Jaryczów w 1841 roku.

Znane są również nazwiska kilku zakonnic ormiańskich Krzysztofowiczówien: Katarzyny Romualdy obłóczonej w 1737 roku, która zmarła w Jazłowcu w 1779 roku, Anny Rypsimy Placydy z Łysca, a w 1798 roku obłóczona została w wieku lat osiemnastu Rozalia Gertruda.

Rodzinne gniazdo w Karapczyjowie na Bukowinie



Mikołaj Krzysztofowicz (1846-1935)

Historia rodziny Krzysztofowiczów z Jasienowa, Załucza, Karapczyjowa możliwa do udokumentowania rozpoczyna się od Krzysztofa Deodata Krzysztofowicza (ur. 1758) i Anny Zadurowiczówny (ur. 1772), którzy pobrali się w 1794 roku. Z tego małżeństwa urodziło się sześcioro dzieci: Gertruda (ur. 1796), Jan (ur. 1798), Tekla (ur. 1800), Zachariasz (ur. 1801), Grzegorz (ur. 1805), Kajetan (ur. 1808). Najmłodszy syn Kajetan (1808-1875) ożeniony w 1840 roku z Emilią Romaszkan (1822-1905) miał dzieci: Paulinę (1841-1920), Mikołaja (1846-1935), Eugeniusza (1850-1925) oraz Romana (1842-1907). On też kupił w 1836 roku Karapczyjów –

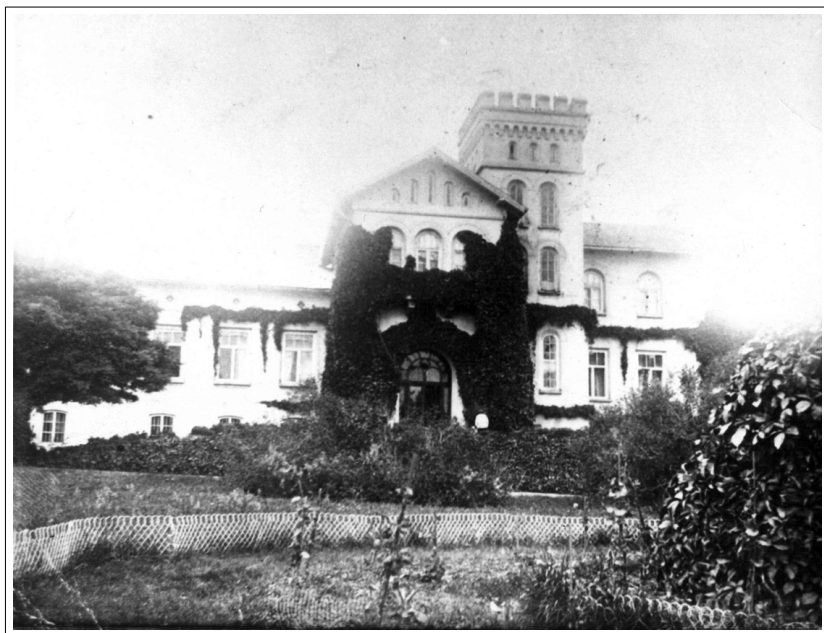
kawałki lasów, ziemi ornej od różnych właścicieli. Mikołajowi i Eugeniuszowi zapisał wspaniałe zagospodarowane ziemie od Kniaża po Zawale. Mikołaj gospodarował również w Załuczu nad Czeremoszem liczącym 1500 morgów oraz młyn, tartak, gorzelnię. Z wykształcenia był doktorem praw, w latach 1879-1885 – posłem do Rady Państwa, a 20 grudnia 1893 roku uzyskał mandat do Sejmu Galicyjskiego i pozostawał w nim do 1914 roku. W Sejmie zabierał głos przede wszystkim na temat gospodarki rolnej, opowiadając się równocześnie za rozbudową szkół gospodarstwa wiejskiego i domowego dla kobiet. W 1908 roku złożył memoriał domagający się stanowczej polityki w obronie polskiego stanu posiadania we wschodniej Galicji. Był również długoletnim prezesem Związku Ziemiaków, marszałkiem Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, Komandorem Orderu św. Grzegorza i Orderu Polonia Restituta. Ożenił się w 1875 roku z Ewelina Siemianowską (1856-1916) i miał córkę Izabelę (1878-1943), która wyszła za mąż w 1899 roku za Józefa Jaruzelskiego (1871-1939).

Karapczyjów – gniazdo Krzysztofowiczów zakupione zostało w połowie w 1836 roku przez Kajetana i tam też przeniósł się w 1855 roku z Załucza nad Czeremoszem jego najstarszy syn Roman. Był to majątek złożony z wielu rozrzuconych arealów ziemi, które należało scalić. Roman konsekwentnie dokupował ziemie, między innymi znacznego zakupu dokonał w roku 1863 roku. Najpoważniejszą jednak transakcję przeprowadził Roman Krzysztofowicz w 1878 roku, odkupując od Słowaka Kowasca znajdującą się na obrzeżach wsi Karapczyjów – tak zwaną Kowaczówkę z gorzelnią, folwarkiem i wielohektarowym lasem. W latach 1899/1900 cały Karapczyjów został zmeliorowany (zdrenowany).

W Karapczyjowie zastał Roman niewielki dwór poprzedniego właściciela, do którego dobudował trzy pokoje, jednak w 1878 dom ten został zamieniony na magazyn, a rodzina Romana przeniosła się do stopniowo poszerzanego dworu zbudowanego według projektu Glaubitza, ostatecznie ukończonego w 1888 roku. Nowy potężny dwór familiarnie nazywany był Burgiem. Roman miał też samochód, co było ewenementem w tamtych czasach, który zakupiony został

w 1900 roku na wystawie we Wiedniu. Niestety nie był on w stanie podjechać pod dwór-Burg stojący na niewielkim wzniesieniu.

W 1868 roku ożenił się Roman z Emilią z Romaszkanów (1850-1900), córką Karola Romaszkana i Joanny z Passakasów. Emilia całe swoje dorosłe życie spędziła w Karapczyjowie nad Czeremoszem na Bukowinie, matkując ośmiorgu dzieciom, a byli to: Helena (1869-1953), Alfred (1870-1953), Eugenia (1872-1964), Marian (1875-1955), Karol Witold (1877-1970), Henryk (1878-1970), Aleksander (1880-1893), Maria (1884-1976). Początkowo mieszkali w niewielkim dworze pozostawionym przez poprzedniego właściciela, a następnie po 1880 roku przenieśli się do nowego dworu, tzw. Burgu.



Dwór Romana Krzysztofowicza w Karapczyjowie

W domu w Karapczyjowie częstym gościem był biskup ormiański Izaak Isakowicz: chrzczył dzieci, gościł w czasie wizytacji parafii bukowińskich, przyjeżdżał na wypoczynek, poświęcił też 16 maja 1897 roku ufundowaną przez Romana Krzysztofowicza

kaplicę pod wezwaniem Matki Bożej Nieustającej Pomocy przeznaczoną dla wiernych trzech obrządków, gdzie pochowani zostali Romanowie Krzysztofowiczowie. Kaplica, która przetrwała obie wojny

światowe, została doszczętnie zniszczona w 1947 roku.

Emilia Krzysztofowiczowa prowadziła z arcybiskupem Izaakiem Isakowiczem systematyczną korespondencję, przechowywaną do dziś w ilości 341 listów w Archiwum Kurii Metropolitalnej w Krakowie. Roman Krzysztofowicz wykonał 18 lutego 1907 roku testament rozpoczynający się od słów: „W zamiarze o przyszłość moich dzieci, które wszystkie jednako kocham, podług moich dotychczasowych doświadczeń postarać się w najkorzystniejszy sposób i takowych zabezpieczyć, oświadczam przy dziś jeszcze zdrowym rozsądku i wolny od przymusu moją ostatnią wolę w następujący sposób.

1. Jako spadkobierców uni-

wersalnych mego ruchomego i nieruchomego majątku, mianuję niniejszym moich trzech synów: Alfreda, Mariana i Witolda, z tym, że reszta moich dzieci, a to Helena, Eugenia, Henryk i Maria li tylko do udziału schedy obowiązkowej mają prawo [...] 3. Majątek Karapczin Roman i Karapczin Kovats nad Czeremoszem, oraz należącą mi część lasową w Willawczu [...] zostawiam moim synom Alfredowi i Witoldowi [...] 5. Majątek Jasienów Polny zostawiam memu synowi Marianowi na jego wyłączną własność [...]

Nekrologia. Roman Krzysztofowicz, właściciel dóbr ziemskich, opatrzny św. Sakramentami, przeżywszy lat 65, po krótkich a ciężkich cierpieniach przeniósł się d. 22 b. m. w Karapczyowie n. Cz. do wieczności. Smutna ta i bolesna wiadomość wywołała szczery żal i współczucie wśród społeczeństwa naszego, gdzie ś. p. Roman Krzysztofowicz gorliwą a sumienną pracą zawodową, prawym i nieskazitełnym charakterem zjednał sobie sympatyę, poważanie i szacunek powszechny. Nieboszczyk był jednym z o-wych ziemian-obywateli, co stoją zawsze w szeregu i nie wyłączają się od żadnego obowiązku, jaki na nich wkłada stano-wisko społeczne i życie publiczne. Miłością i czcią, którą szczycił się za życia, otoczą dziś rodacy pamięć zacnego człowieka i obywatela.

Pogrzeb odbył się w niedzielę dnia 24 b. m. Przy wyniesieniu zwłok z domu w pięknej mowie wiceprezes Komitetu wykonawczego naszego stronnictwa, p. Dr. Teodor Bohosiewicz z Milijowa, podniósł zasługi i zalety nieboszczyka. Nad grobem przemawiali księża Zawadowski z Waszkowic i Mojżeszowicz ze Śniatyna. Cześć pamięci zacnego obywatela!

Nekrolog Romana Krzysztofowicza z „Gazety Polskiej” 1907, nr 96

7. Jest moim życzeniem, by pogrzeb mój był bardzo skromny i bez żadnych zawiadomień”.

Wówczas też dwa majątki karapczyjowskie zostały podzielone pomiędzy dwóch synów Romana: Alfreda (1870 Karapczyjów – 1953 Craiova) ożenionego z Teklą z Łubieńskich oraz Witolda (1877 Karapczyjów – 1970 Kraków) ożenionego z Marią Rogala Zawadzką. Były też dwa dwory, jeden zwany Burgiem, drugi zaś Schonbrunem. Nazwy te, w niczym nienawiązujące do wiedeńskiego przepychu, były – jak się zdaje – jedynie wyrazem sentymentu dla cesarza Franciszka Józefa, który cieszył się na Bukowinie znacznym mirem.

W okazałym Burgu zamieszkał Alfred wraz z żoną Teklą – zwaną Tecią. Alfreda gospodarowanie specjalnie nie interesowało, natomiast dwór prowadzony był na szeroką skalę, zawsze pełen gości. Witold zamieszkał w wybudowanym jeszcze przez Romana dworze w Kowaczówce, bardzo komfortowym (z kaloryferami i wodociągiem), nazwany on został z kolei Schonbrunem. Witold planował jego rozbudowę po ślubie w 1914 roku. Wojna pokrzyżowała jednak te plany. Witold był w wojsku, żona jego Maria przedostała się powozem via Węgry do Wiednia, gdzie przebywała aż do 1918 roku. Przez Karapczyjów natomiast, jak i przez całą Bukowinę przetaczały się wojska rosyjskie i austriackie, w efekcie czego zostały spalone i zrównane z ziemią wszystkie zabudowania folwarczne. Ocalał jedynie dwór, tam bowiem rezydował szpital wojskowy. Rodzina Witolda zamieszkała w Burgu, majątku Alfreda, który był w wojsku, a jego żona Tekla we Francji. Dopiero po wojnie Witold rozbudował dwór-Schonbrunn i folwark: prowadził tuczarnię wołów (w stajni mieściło się około 100 wołów) oraz uruchomił w 1920 roku gorzelnię, która pracowała do 1941 roku, kiedy to spalili ją Rosjanie, i ponownie ruszyła zimą 1942/1943. Ostatecznie zniszczona została 26 marca 1944 roku. W tym dniu opuścił dom jako ostatni, najmłodszy syn Witolda – Władysław, czyli Sławek, zabierając dwie fury rzeczy, dwa ogiery, dubeltówkę. W Karapczyjowie wiele uwagi też poświęcano prowadzeniu lasów, którymi zarządzał inżynier leśnik Teofil Rygowski. Planowane było również założenie stawów rybnych. Park otaczający dwór-Schonbrunn do dnia dzisiejszego ocalał,



**Maria z Passakasów i Marian Krzysztofowicz,
Czerniowce 1908**

Marian Krzysztofowicz z Jasienowa Polnego

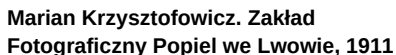
Marian Krzysztofowicz (1875 Karapczyjów na Bukowinie – 1955 Kraków) ukończył Szkołę Rolniczą w Czerniowcach. W 1908 roku ożenił się z Marią z Passakasów, która mieszkała przed zamążpójściem wraz z rodzicami we Wiedniu (przy Fasangasse). Maria zwana familiarnie Muszką lub Muchą była wysoką, szczupłą i elegancką panią, cichą i spokojną osobą, tonącą przez całe życie do późnej starości w kłębach dymu nieodłącznych papierosów i pijącą czarną

dzięki uznaniu go za zabytek przyrody, szpeci go natomiast monumentalne popiersie Łysenki.

Dwór karapczyjowski – Schonbrun był domem skromnym, w którym jedynymi ozdobami były obrazy, jak pejzaż zimowy Juliana Fałata i trzy krajobrazy (dziś trudno zidentyfikować autorów), dwa dywany perskie, srebro na 24 osoby.



**Maria z Passakasów
Krzysztofowiczowa.
Zakład Fotograficzny Adela
we Lwowie**



Laury luteum *Leptocarpus* i *Leptocarpus*
x Passakasan *x Siedrich*
Maria Krzysztofowiczowa

Bilet wizytowy Marii Krzysztofowiczowej

Dowód osobisty Mariana Krzysztofowicza, 1936

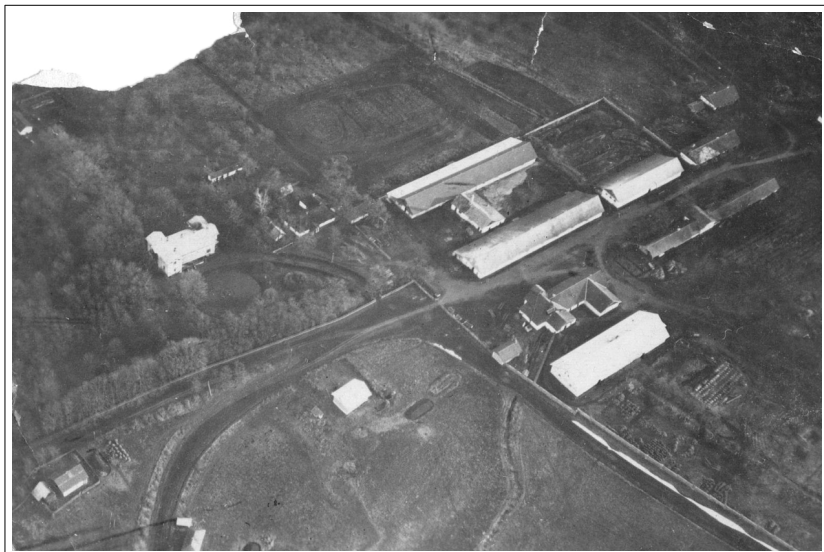
przewidywał utratę, ze względów etnicznych, przez Polskę ziem wschodnich. Początkowo od 1897 roku gospodarował wspólnie z bratem Witoldem w Jasienowie Polnym w powiecie Horodenka, zakupionym prawdopodobnie przez Krzysztofa Deodata Krzysztofowicza na przełomie XVIII i XIX wieku, który już za czasów Romana w 1884/1885 roku posiadał 1750 morgów. Tam też Marian wybudował w 1907 roku według projektu architekta z Czerniowiec – Mullera nowy, niewielki parterowy dwór z charakterystyczną dwukondygnacyjną dobudówką oraz z drewnianym gankiem. Dwór otaczał park korygowany i uzupełniany jeszcze w 1939 roku. Na gazonie przed dworem ustawiona została figura świętego Krzysztofa, która po drugiej wojnie światowej, w ramach ateizacji, wrzucona została do stawu, lecz po latach powróciła na swoje miejsce i stoi do dziś, choć już bez głowy. Profanującego pomysłodawcę usunięcia świętej figury spotkały rodzinne tragedie, uznane przez społeczność Jasienowa za karę boską.

Folwark w Jasienowie Polnym rozrastał się systematycznie. W 1909 roku wybudowana została gorzelnia, około 1910 roku zakupił Marian Krzysztofowicz sąsiadujący z Jasienowem folwark Głuszków (320 morgów). Wybuch pierwszej wojny światowej spowodował wyjazd rodziny Mariana: żony i dwóch synów Romana i Krzysztofa do Wiednia. Po zakończeniu wojny i po powrocie do Jasienowa Polnego podjął odbudowę dworu, uporządkowanie folwarku, wprowadził pług parowy oraz rozpoczął dalsze inwestycje: w 1919 roku zakupił folwark Strzylcze (550 morgów) oraz połowę majątku odziedziczonego przez żonę w Stecowej (całość 1200 morgów) w powiecie śniatyńskim, zaś w 1936 roku zakupił las w Żukowie koło Obertyna (1050 morgów). Równocześnie prowadził na dużą skalę



Figura Matki Bożej w parku □
w Jasienowie Polnym

opas była przeznaczonego głównie na eksport, między innymi na Maltę, oraz jedną z największych znajdujących się w prywatnych rękach plantację buraków cukrowych na obszarze blisko 500 morgów. W latach dwudziestych wykorzystując własną gorzelnię w Jasienowie Polnym z rektyfikacją spirytusu założył fabrykę wódek, likierów i rumu, którą na skutek zmiany koniunktury zamknął w 1926 roku, inwestując wówczas w Krakowie w fabrykę Kartonaży Jan Nowak i Spółka oraz kupując w 1927 roku kamienicę. Gospodarstwo w Jasienowie Polnym obejmowało również stawy hodowlane. Gospodarstwo prowadził Marian Krzysztofowicz twardą, ale równocześnie życzliwą ręką, był wymagający wobec robotników rolnych, wobec synów, których kształcił na swoich następców, a przede wszystkim wobec siebie. Słynne były jego objazdy pól dwukółką bądź saniami (bryczka czteroosobowa, gig, kocz – wóz koszykowy stały bezużyteczne w wozowni) rozpoczynające się codziennie o piątej rano, z rannym udojem. Widoczna była przez to zasada *pańskie oko konia tuczy*. To absolutne oddanie się gospodarstwu czytelne było, jak głosi wieść rodzinna, również i w stylu bycia Mariana Krzysztofowicza, człowieka nadzwyczaj skromnego, niezwracającego uwagi na drobiazgi, czego odbiciem była również skromność



Majątek Mariana Krzysztofowicza w Jasienowie Polnym, po lewej stronie widoczny dwór. Zdjęcie wykonane z aeroplanu z wysokości pięciuset metrów, 1916

i praktyczność urządzenia domu jasienowskiego, kontrastującego z wnętrzem dworu Henryka Krzysztofowicza w Załuczu. Wnętrze było ciemne, wręcz ponure: w jadalni ciemne, rzeźbione meble, ciemne zasłony i szafa w ścianie ze słojami konfitur. W sypialni łóżka żelazne przykryte liżnikami, w salonie pomalowanym na ciepły malinowy kolor, gdzie rodzina zbierała się na poobiednią kawę i po kolacji, stały biedermeiery i wysokiej klasy fortepian do dyspozycji gości. Na ścianach wisiały dywany perskie, w serwantkach stała duża ilość bibelotów, porcelany, srebra, zaś w korytarzu – pozytywka walcowa z walcami Straussa. Pełnokomfortowe do 1939 roku łazienki dziś już nie istnieją, zamienione zostały na bezdrzwiowe sławojki stojące przed domem.

W 1937 roku po zaręczynach Romana z Franciszką z Oroszeny-Bohdanowiczówną dobudował Marian Krzysztofowicz do dworu dwa pokoje i olbrzymi taras, a równocześnie dla drugiego syna Krzysztofa wybudował w Strzylczach nowy, superkomfortowy dom przypominający wille warszawskie. Wybudowanie domu dla drugiego syna podkreśla jego zasadę edukacyjną stosowaną wobec synów – identycznego rozdziału dóbr.



Dwór Krzysztofowiczów w Jasienowie Polnym, 1931



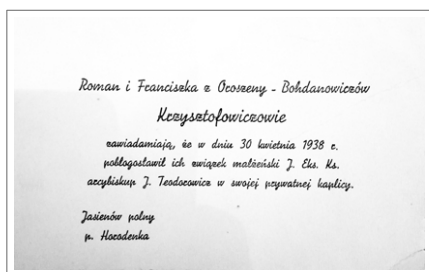
Dwór Krzysztofowiczów, foto przed 1939



Krzysztof Krzysztofowicz (1911-2003)



Bracia: Roman (z prawej) i Krzysztof Krzysztofowiczowie, około 1920



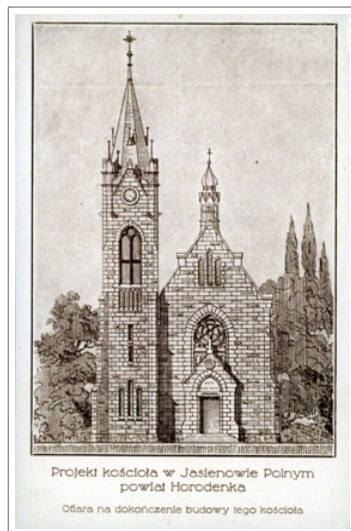
Pamiętka ślubu Romana i Franciszki Krzysztofowiczów, 1938

Gdy kupił biżuterię dla swej synowej, żony Romana, zabezpieczył równocześnie biżuterię dla przyszłej żony Krzysztofa, który ożenił się kilkanaście lat po wojnie. Jeżeli Roman dostał dwa obrazy Kosaka, w tej samej ilości i tego samego autora dostał Krzysztof. Równocześnie potrafił też Marian Krzysztofowicz interesować się zbytkami, kupując między innymi żonie i przyszłemu synowi biżuterię, którą przywozili, bądź przesyłali pocztą do Jasienowa Polnego lwowscy jubilerzy. Był również mistrzem słowa, co potwierdza jego piękny, choć krótki toast wzniesiony na ślubie Romana z Franciszką z Oroszeny-Bohdanowiczów, który odbył się w prywatnej kaplicy ormiańskiego arcybiskupa Józefa Teodorowicza we Lwowie 30 kwietnia 1938 roku i opublikowany został na łamach „Posłańca św. Grzegorza” (1938, nr 2). Mówił wtedy: „Pragnę przede wszystkim podziękować Jego Ekscelencji za udzielenie błogosławieństwa naszej młodej parze i za te cenne

wskazówki jakich jej łaskawie udzielić raczył. Niech idą przez życie ożywieni zasadami naszej świętej wiary, przywiązani do naszego obrządku i tradycji ormiańskich, które Jego Ekscelencja tak wysoko podniósł, a których wpływ odbijał się wielokrotnie w domu Jego Przyjaciół i krewnych śp. rodziców Ani w Dżurowie. Widziałem dziś rano z jaką tkliwością Jego Ekscelencja łączył naszą młodą parę, oddając swoją pupilkę mojemu synowi Romanowi, mogę zapewnić,

że syn mój nadziei w nim pokładanych nie zawiedzie, a Ania będzie naszą najdroższą córką. Dziękuję raz jeszcze Ekszelencji za wszystko to, coś dla nas uczynił, wznoszę toast: Najdostojniejszy nasz Arcypasterz Jego Ekszelencja Ks. Arcybiskup Teodorowicz niech żyje długie lata dla dobra naszej diecezji i Narodu Polskiego”.

Był również Marian Krzysztofowicz jednym z fundatorów nieistniejącego dziś kościoła rzymskokatolickiego w Jasienowie Polnym. Poświęcenie kamienia węgielnego odbyło się w 1929 roku i znane jest z wydanych okazjonalnych pocztówek.



Projekt kościoła rzymskokatolickiego w Jasienowie Polnym, lata 30. XX wieku



Dyplom przyjęcia do Sodalicji Mariańskiej Mary Krzysztofowiczowej, 1931



Ojcze **S**więty!

Marian Krzysztofowicz z rodziną



najpokorniej upadając do stóp **N**aszej
Swiątości błażąc, o **B**łogosławień=
 stwo **A**postolskie z odpustem zupełnym
 na godzinę śmierci, nawet i wtedy, gdy nie
 mogąc się wyśpowiadać i przyjmując **K**omunji
Swiętej skruszeni zawezwać ustami
 lub sercem **N**ajświętsze **I**mię **I**ezus.

Carolo Krzysztofowicz
Carolo Krzysztofowicz
+ Carolus Krzysztofowicz
Michał. P. com. di. m. s.

Marian uhonorowany został przez Stolicę Apostolską Komandorią Orderu św. Grzegorza, a za działalność społeczną Złotym Krzyżem Zasługi.

W dniu 22 lipca 1939 roku odbył się w Jasienowie bal wydany przez młodą wówczas mężatkę Franciszkę-Anię Krzysztofowiczową. Bal, który był pożegnaniem epoki, Jasienowa, historii. Zaproszonych było około 40 osób – barwne długie suknie, fraki, i oczywiście walce wiedeńskie w wydaniu orkiestry z Zaleszczyk i oświetlona lampionami aleja parkowa.

Jasienów Polny opuścił Marian Krzysztofowicz wraz z rodziną 18 września 1939 roku przekraczając granicę polsko-rumuńską w Serafińcach. Na drugi dzień, gdy zobaczył swoją kilkumiesięczną wnuczkę w ponurej suterenie w Czerniowcach rozplakał się. Skończyła się pewna epoka.

Całą wojnę spędził Marian wraz z żoną i synem Krzysztofem w Craiovej, na południu Rumunii, natomiast rodzina Romana zatrzymała się w 1939 roku w Oszechlibach na Bukowinie, w niewielkim majątku Franciszki Romanowej Krzysztofowiczowej, gdzie pobyty regulowane były przybyciem, bądź wycofaniem się Armii Czerwonej. Ostatecznie również i oni przyjechali do Craiovej. W Craiovej prawie cała rodzina pozostawała na rentach wypłacanych przez rząd rumuński, tak zwanych „refudziatom” uciekinierom. Jedynie Ania Krzysztofowicz jako obywatelka rumuńska była pozbawiona wsparcia, ale zarabiała produkując tak zwane drewniaki – sandały. Stenia zaczęła chodzić do szkoły do 1 klasy w szkole zakonnej, gdzie dostała od razu naukę trzech języków obcych: rumuńskiego, francuskiego, niemieckiego, a poza tym nauczyła się prawdziwego rumuńskiego patriotyzmu – pokochała



W Craiovej (Rumunia), od lewej: NN, Marian Krzysztofowicz, Zdzisław Geperd, okres II wojny światowej

króla Michała I.

Marian Krzysztofowicz, a wraz z nim cała rodzina – żona, synowie, synowa, odrzucili możliwość otrzymania paszportów francuskich. To był ostatni etap wojennych peregrynacji, w czerwcu 1946 roku, po trzech tygodniach jazdy w bydlęcych wagonach przyje-

chali do Krakowa. W wagonie wypełnionym drewnianymi pryzmami jechało wraz z bagażami 16 członków najbliższej rodziny zarówno Krzysztofowiczów, jak i Odrowąż-Pieniążków i Oroszeny-Bohdanowiczów: Marianowie, Romanowie, Krzysztof, ich kuzyn – Jurek Passakas, bona Stefani – Steni – Julia Puczka, a także siostra Ani – Jadzia Odrowąż-Pieniążkowa z trójką dzieci – Elżbietą, Teresą, Krzysiem i lokajem Antonim. Towarzystwa dopełniali Tadeus zostwo Oroszeny-Bohdanowiczowie: Tadeusz i Łucja oraz ich córka Irena i syn – Tadeusz – Dziunio, którzy jako jedyni wracali do swego domu – wspaniałej willi



Marian Krzysztofowicz (1875-1955)

w Krakowie na Krowodrzy. Podróż pociągiem dostarczała nowych wrażeń. Trasa bowiem wiodła przez rodzinne strony i co chwilę mijane były majątki dawnych znajomych, przyjaciół, sąsiadów, tudzież dworce kolejowe wypełnione ludźmi chętnymi do wymiany wszystkiego za suchary. Ostatnim etapem emocjonującej drogi, czy aby pociąg nie skręca na wschód postoju, był kilkugodzinny pobyt na dworcu w Lwowie. Wyjście do miasta szybko się skończyło, bowiem rodzice przerazili się widokiem korytarzy dworcowych wypełnionych ludzkimi łachmanami. Natomiast pierwszym wstrząsającym kontaktem z rodzinną ziemią była na dworcu w Przemyśle latryna: jedna długa deska z otworami i dwa osobne wejścia do niej, dla mężczyzn i kobiet. Był to szok.

Lata tułaczki wojennej, potem pobyt w Krakowie, mieszkanie więcej niż ubogie w oficynie przy ulicy Studenckiej, nigdy nie były powodem jakichkolwiek narzekań, utyskiwań, żali. Przez jakiś czas, jedynie w czasie cotygodniowych spotkań towarzyskich na słynnych *śródownkach* – *jour fixe* Babci Muchy, pojawiały się wizje powrotu do rodzinnych stron, które przeplatane były pełną paniki perspektywą wywózek na wschód. Spotkania te, owocowały poezją autorstwa Juliusza Passakasa, brata Marii Krzysztofowiczowej. W październiku 1949 roku dedykował Marianowi Krzysztofowiczowi, zwanemu familiarnie Muniem, wiersz *Serce za serce*:

I. Blisko rumuńskiej granicy, wśród parku z akacji i klonów,
Pokucki producent chleba – stał się sławny „POLNY JASIEŃÓW”
Dwór otoczony drzewami i folwark miała okazały:
Gorzelnia, stajnie, stodoły – liczne budynki tam stały
Bo w Małopolsce słynęła – ta sławna „fabryka chleba”
Ogromna cukru produkcja, wszak wiedzieć o tem potrzeba,
Buraków wielka plantacja, bo ponad trzystu morgowa,
Opasy na wielką skalę – chatki, gdzie służba domowa!
Dziwiły powiat naokół! Tam wrzała praca od świtu,
Te słowa: Marjan – Gospodarz – doszły do sławy zenitu!
Talent organizacji, nadmiernej pracy człowieka,
Co na owoce swej pracy przez całe swe życie czekał!

II. I była właśnie wiosna, więc ruszyły pługi:
Ciągną wozy z nasieniem, dozorczy, fornale,
Siewniki, wołowe też wozy widzimy w oddali,
Oraz zastępy dziewcząt. Rządca na wózku polowym –
Tak ruszał cały aparat – do pracy zawsze gotowy.
Pszenica, jęczmień, buraki, sypane w czas należyście,
Owsi, rzepaki, i konicz – plon wydawały obficie.
Młocarnie sypały ziarnem – obfite rosły tam plony.
Po żniwach – pług to parowy – w głębokie orał zagony.
Jesienią sezonu krocie i sprowadzeni Huculi
Mozolnie kopią buraki – na słoty, zimno nieczuli
Setki fur – zwózka buraków – deszczu i mrozów niepomni:
Odstawia, wozi, ładuje – do Horodeńskiej cukrowni.

Wracają znojne konie z Imasza, Bałk i Gnilaka,
Pomiarek i Horbasówki, Mogiły oraz Tumaka.
Z nadmiernej pracy w polu w mozolnym trudzie, znoju,
Tyś okiem znawcy stał w bramie – z świętą przy wodopoju.
Wieczorem w kancelarii gdy cię już praca osłabi
Raporty i wypłaty. Od stawów szedł rechot żabi,
Lub śpiew słowika w parku. Twój własny głos sumienia,
Dawał ci chwilę szczęścia – pełnię zadowolenia.
Bo dewizą życia twego była zawsze cała:
„Tak używać młodości, aby i na starość wiele pozostało”
Wszystko z pola wracało – pełno było w stajniach i we dworze.
Na Jasienowem – spokojnie zachodziły zorze.
III. Pięćdziesiąt lat trwała praca! Pieniądze i głowa
Twa zrobiły, że folwarków poszła rażno odbudowa:
Dwór i budynki w Strzylczu, spichlerze Głuszkowa,
Inwentarze, maszyny, budynki – dostała Stecowa.
A ponieważ syn Romek już dochodził w lata
Dla żonatego – część dworu trzeba ordynata.
Także dla Krzysia trzeba było dworu:
W pobliskim Strzylczu: stanął dwór wygodny i pełen splendoru!
Więc poszły w ruch żwawo: fury, cegły, kielnia
I na ukończeniu była wspaniała gorzelnia.
Nawet w Jasienowie tam przy dworze nowe
Stało całe skrzydło – dla przyszłej Synowej!
Bo młodszy Krzysio – przebacz mu o Panie!
Wciąż jeszcze w kawalerskim pozostawał stanie.
Do tego dokupiono – Munia była głowa:
Wspaniały obiekt leśny z majątku Żukowa
Marian własnej osoby i wygod niepomny:
Pracowity, uczynny i cichy i skromny,
Pomagał drugim z całym zaparciem się siebie
Bliższym i dalszym w niejednej dopomógł potrzebie.
Na wszystkie cele nie skąpił pieniędzy
I niejednego wydobył z nędzy.
Bo gdy los mnie dwukrotnie dotknął sprzeniewierca,
Dużo miałem dowodów Twego szlachetnego serca.

Także w życiu prywatnym: najlepszy małżonek i tato
Byłeś przykładem pracy całego powiatu.
Do późna pracowałeś, siedząc zmęczony i śpiący
Ale Twe dobre rady równały się monecie brzęczącej!
Z takich kresowych ziemian – dumni być winni Polacy
Oto pięćdziesięcioletni rezultat intensywnej pracy!!!
Przeszedłeś przez życie w pracy – wszystkim dobrze czyniąc!!!

IV. Co ranka – wcześniej wyjeżdżałeś w pole,
By dopilnować, jak idzie, tak praca na roli.
Wracałeś gdy już dobrze ściemniało się na dworze,
Wszędzie było Cię pełno – w stajniach i oborze.
Zima zaś gorzelnia, likiernia – dobre były czasy
Po stajniach odwiedzałeś rozliczne opasy.
Gdy chodzi i wyjazdy – nic Ciebie nie znuży
W garażu drzemały auta do dalszej podróży.
Gdy jechałeś wśród łąnów zachodziła zorza,
Swemu GOSPODARZOWI – faliste kłaniały się zboża:
Tej dorodnej pszenicy i buraków łąny
Na dożynkach żniwiarze zawodzili tany.
W czym brała udział służby Twojej świta:
Wieńce, kwiaty, życzenia, pieśń: MNOHAJA LITA!!!
I zawsze cicha Muszka skrzętnie zarządzała dworem.
Tak stałeś się na Pokuciu gospodarza wzorem.
Tak mijało Wam życie w trudzie i mozołach,
Cel życia Ty w rodzinnym Żony, Dzieci więc zamknąłeś kole!
V. Lecz nadszedł i grom wojny!!! Więc krwawo i dumnie
Padł JASIENÓW – strzaskanej podobny kolumnie
Gdy historia – wszystko nasze na popiół obraca:
Przepadła tam nadludzka Twego życia praca.

I wtedy też powstał jakże sentymentalny wiersz Juliusza Passakasa,
szwagra Mariana:

[...] Słyszałem przedtem, że dom spalony
Budynków nie ma sady, las zniszczony
A dziś znów słyszę o Drodzy Moi
Dom się buduje, kończy się, stoi!

[...] W pokojach lepsze nastaną czasy
 Na ścianach, dywan, pers i arrasy,
 Też będą książki, gazety, słońce
 które nam z poczty przyniosą gońce
 Marjan pod lipą sobie zasiądzie
 I jeśli zechce, to pójdzie wszędzie
 Po gospodarstwie i po budynkach,
 Po koniach, wołach, krowach i świnkach
 I po ogrodzie Swym znawcy okiem
 Tak, jak przed laty, gdy był prorokiem
 Gospodarstw wielu. Z całym uczuciem
 Oddany pracy – tam na Pokuciu.
 Z laseczką wolno, całkiem powoli
 O ile serce na to pozwoli
 Zajdzie spacerkiem i zajrzy wszędzie
 Administrować, doradzać będzie [...]

W Jasienowie Polnym był wówczas kolchoz, we dworze przedszkole. Nazwisko Krzysztofowicz nie było jednak obce mieszkańcom Jasienowa Polnego. Zarówno wnuczkę Mariana – Stefanię, jak i jego prawnuczkę – Urszulę znakomicie, i bardzo serdecznie skojarzono.

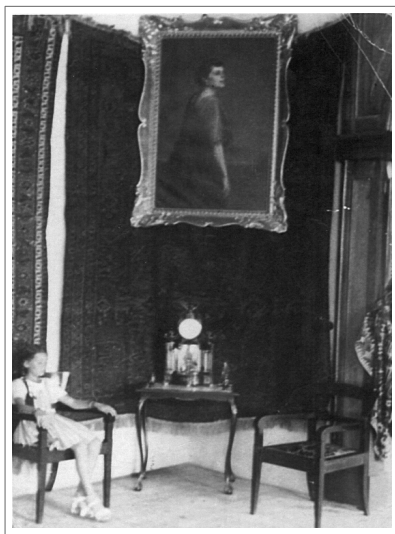


Henryk Krzysztofowicz (1878-1970)

Henryk Krzysztofowicz z Załucza

Henryk Krzysztofowicz (1878-1970) ożeniony z Wiktoryną Rogalą Zawadzką osiadł w Załuczu nad Czeremoszem, gdzie do 1863 roku mieszkał jego ojciec Roman Krzysztofowicz, a którego część zapisana została jego bratu – Witoldowi Krzysztofowiczowi. W sąsiedztwie niewielkiego dworku w tak zwanym

Dolnym Załuczu, w którym mieszkał Eugeniusz Krzysztofowicz, wybudował około 1934 roku dwór z potężnym portykiem (obecnie zakład dla dzieci z niepełnosprawnością intelektualną). Dwór został wybudowany kosztem sprzedaży kilku morgów pola bratu Witoldowi, lecz pozbycie się lasu spowodowało w następnych latach nieuniknione skutki w postaci braku drzewa do opalania potężnego dworu. Niewiele wiadomo o sposobie gospodarowania Henryka w Załuczu, zachował się natomiast spis wyposażenia dworu w Załuczu opracowany po drugiej wojnie światowej przez Henryka, wskazujący na jego zainteresowania i doskonale rozeznanie na ówczesnym rynku antykwarecznym. Salon zawierał między innymi garnitur mebli biedermeierowskich i empirowych, krótki fortepian mahoniowy Schweighofer z Wiednia, komody, zegary porcelanowe, żyrandol z 36 świecami. Na ścianach wisiały francuskie dywany i makaty oraz obrazy Józefa Chełmońskiego *Połowanie na głuszcza*, Józefa Brandta *Kwestarz*, obrazy Rejchana, Wojciecha Kossaka *Ułani na koniach w lesie brzozowym*, Wacława Pawliszaka *Rewia wojsk polskich przed królem Janem Kazimierzem*, Juliana Fałata *Węglarze*, Tadeusza Ajdukiewicza *Konie na pastwisku*, Zygmunta Rozwadowskiego *Wyjazd na polowanie*, Alfreda Wierusza Kowalskiego *Krakovskie wesele*, kilka sztychów oraz 32 miniatury. W jadalni stały dwa mahoniowe bufety, stół i 24 krzesła, lustro na konsoli. Na ścianach wisiało 13 starych portretów, cztery dywany perskie, w drzwiach kotara z sześciu zszytych karamani, z sufitu zwisał olbrzymi „pająk” kryształowy wykonany na zamówienie w wiedeńskiej firmie Zahn. Przedpokój to z kolei szaragi wiedeńskiej firmy, stoliki z blatami szlifowanymi, lampa w kształcie latarni, na ścianach dwa obrazy



Dwór Henryka Krzysztofowicza □
w Załuczu - wnętrze salonu, około 1938

na blasze malowane. Holl urządzały krzesła biedermeierowskie, garnitur klubowy w wiedeńskiej firmy Portois, stoliki do gry w karty, stół przykryty perskim dywanem i cztery wazony porcelanowe – wiedeńskie, talerze i wazony z Korca, porcelana saska, stary Berlin, a także lampy wiedeńskie z brązu, kinkiety. Na ścianach wisiały cztery sumaki, na podłodze dywany perskie. Były też obrazy: Tadeusza Popiela *Żydzi*, Józefa Jaroszyńskiego *Polowanie na dziki*, Antoniego Piotrowskiego *Nagonka na śniegu*, Damazego Kotoskiego *Jarmark na konie*, dwa obrazy Zygmunta Rozwadowskiego, trzy Mieczysława Reyznera. Niemniej efektownie urządzone były: kancelaria – meblami „amerykańskimi”, trzy sypialnie ozdobiono

między innymi świecznikami żydowskimi, perskimi dywanami, makatami buczaćskimi. Skromniej urządzone były natomiast cztery pokoje gościnne. Wspomniany spis wymienia również komplet sreber stołowych na 50 osób, 4 duże i 4 mniejsze kandelabry, koszyki, tace i tacki, 8 półmisek, cukiernice, lichtarze, garnitur do kawy i herbaty.



Maria (Litka) Krzysztofowicz (1914-2001)

Czasy wojenne

Alfredowie, Witoldowie, Marianowie Krzysztofowiczowie wraz z rodzinami spędzili okres wojny w Rumunii. Po wojnie, w Rumunii pozostał Alfred, a także dzieci Witolda: Sławek i Litka. Henryk Krzysztofowicz wraz z żoną Lunią nie zdążył niczego zabezpieczyć w swoim dworze w Załuczu – uciekli do Lwowa, skąd po wojnie przyjechali do Krakowa i zamieszkali u siostry Henryka Marii Kalinkowej. Ich syn Antoni powołany w 1939 roku do wojska przeszedł drogę przez obozy na Węgrzech, armię generała Andersa, wreszcie osiadł w Londynie. Tam też przyjechał po wielu latach owdowiały ojciec. Helena z Krzysztofowiczów Potocka z Uhrynia przyjechała do Krakowa z córką Marią. Syn Roman i córka Wanda po mężu Kownacka zostali zamordowani przez Ukraińców 1939 roku. Do Krakowa przyjechała ze Lwowa po wojnie także Eugenia Łosiowa z córką Marią.



Roman Krzysztofowicz,
około 1914

Moi Rodzice: Franciszka i Roman Krzysztofowiczowie

Oboje Rodzice pochodzili ze starych ormiańsko-ziemiańskich rodzin. Mama – Franciszka z Oroszeny-Bohdanowiczów urodziła się w rodzinie ziemiańskiej w rodzinnym Dżurowie w 1910 roku. Do szkoły podstawowej została oddana do sióstr Niepokalank w Jazłowcu, który to pobyt zawsze wspominała jak najgorzej, że było strasznie zimno, godzinami trzeba było siedzieć w kaplicy klasztornej, że uczennice straszono zmarłą zakonnicą. Gimnazjum – to był już Lwów i renomowana szkoła Sacre Coeur, którą Mama zawsze wspominała wspianiale. Potem zapisała się na Kursy Gospodarstwa

Wiejskiego w Kuźnicach w Zakopanem, z których została karnie usunięta za nielegalne wyjście na dancing.

KURATORJUM OKRĘGU SZKOLNEGO *Lwowskiego*
PAŃSTWOWA KOMISJA EGZAMINACYJNA

ŚWIADECTWO DOJRZAŁOŚCI

Bohdanowicz Franciszka Jona Karja
urodzona dnia *30* miesiąca *grudnia*
roku *1910* w *Oczeklebach*
województwa *w Rumunii*
wyznania *orm. katol.*
po ukończeniu nauki w *ll. 1917/6-1927/8*
w *państwowym gimnazjum w Klużu*
dużym w Rumunii



do którego była przyjęta do *klasy* *piątej*
w *wiosnie* roku *1928*, zdawała w *maju* roku *1929*
gimnazjalny zwyczajny egzamin dojrzałości typu humanistycznego wobec
Państwowej Komisji Egzaminacyjnej, powołanej przez Kuratorjum Okręgu
Szkolnego *Lwowskiego*
pismem z dnia *5 maja 1929* Nr *II-3284*, i otrzymała
następujące oceny ostateczne z przedmiotów egzaminacyjnych:

z religii	<i>bardzo dobry</i>
z języka polskiego	<i>bardzo dobry</i>
z języka łacińskiego	<i>—</i>
z języka <i>francuskiego</i>	<i>bardzo dobry</i>
z historii wraz z nauką o Polsce współczesnej	<i>dobry</i>
z fizyki wraz z chemią	<i>—</i>
z matematyki	<i>dobry</i>

W. 4.
Drukarnia Państwowa, Nr 45883, 14.11.29, 3/200

Świadectwo dojrzałości Franciszki Bohdanowicz, 1929



Dowód osobisty Romana Krzysztofowicza, 1935

Tato – Roman Krzysztofowicz urodził się w Jasienowie Polnym w 1909 roku. Do gimnazjum został zapisany wraz ze swym młodszym bratem Krzysztofem do znanej lwowskiej szkoły Kistryna, po czym studiował w Wyższej Szkole Rolniczej w Cieszynie. Lata te zawsze wspominał jako wspaniałe.

Moi Rodzice Franciszka, zwana Anią z Oroszeny-Bohdanowiczów i Roman Krzysztofowicz pobrali się w kwietniu 1938 roku. Ślubu udzielił im w swej prywatnej kaplicy przy katedrze ormiańskiej we Lwowie spowinowacony z Bohdanowiczami arcybiskup ormiański Józef Teodorowicz. Mowa weselna arcybiskupa oraz mojego dziadka znane mi są z publikacji ogłoszonej na łamach pisma „Posłaniec św. Grzegorza”. Potem wyjechali w podróż poślubną do Rumunii, nie spodziewając się jednak, że za kilkanaście miesięcy los zwiąże ich na dłużej z tym krajem. Po powrocie z wojaży zamieszkali w domu ojca Romana – Mariana w Jasienowie Polnym koło Horodenki na dalekich polskich Kresach. Dziadek Marian dał mojej Mamie absolutną swobodę w przemeblowaniu dworu

jasienowskiego, co zaowocowało projektami i zamówieniami, na realizację zabrakło jednak czasu. Przed moim urodzeniem przebudowany też został dwór i dobudowano dwa pokoje i olbrzymi taras.

W marcu 1939 roku urodziła się ich córka – narratorka – Stefania, zwana Stenią. W dniu 22 lipca 1939 roku – jak wspomniano wyżej – odbył się w Jasienowie bal wydany przez młodą wówczas mężatkę Franciszkę-Anię Krzysztofowiczową. Bal, który był pożegnaniem epoki.

Po wkroczeniu Sowietów do Polski zaczęło się też nowe życie w nowej sytuacji i trzeba było się uczyć wszystkiego od początku. Rodzice, Dziadkowie, brat ojca i około 40 osób, które zatrzymały się w Jasienowie w czasie beładnych ucieczek wojennych opuścili Polskę 18 września 1939 roku, przekraczając granicę w Serafińcach. Pierwszym etapem peregrynacji wojennych był pobyt najpierw we dworze Alfreda Krzysztofowicza w Karapczyjowie na Bukwinie, a potem w resztówce mojej Mamy w Oszechlibach, też na Bukwinie, gdzie Rodzice gospodarowali uprawiając kukurydzę oraz prowadząc gorzelnię. Po pierwszym wejściu Sowietów ewakuowali się do Craiovej, skąd ponownie powrócili do Oszechlib po ich wycofaniu się.



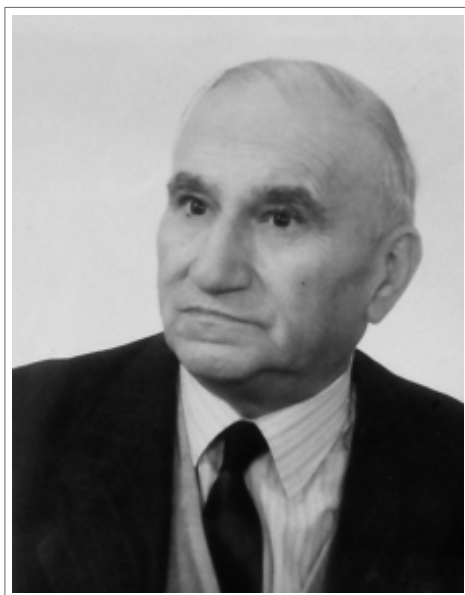
Roman Krzysztofowicz w swoim żywiolu, przed 1939

Ostatecznie wyjechali z Oszechlib w 1944 roku i ponownie zamieszkali w Craiovej. Ojciec dostawał wówczas zapomogę „refudziacką” czyli emigracyjną od rządu rumuńskiego, Mama jako obywatelka rumuńska nie miała oczywiście takiego wsparcia i zajmowała się wyrabianiem butów tzw. drewniaków. Ja rozpoczęłam też w Craiovej edukację w pierwszej klasie rumuńskiej szkoły klasztornej, dodatkowo z językiem niemieckim i francuskim. Efektem tej edukacji była wówczas biegła znajomość języka rumuńskiego i wielka miłość do króla Michała, i straszny bunt na wiadomość, że jedziemy do Polski. Rumunia była przecież moją ojczyzną.

W czerwcu 1946 roku rodzice zdecydowali się wraz z całą rodziną na powrót do Polski. Była to właściwie decyzja mojego dziadka, który odrzucił możliwość dostania paszportów francuskich, uznając, że nasze miejsce jest w Polsce.

Ponieważ w Krakowie nie mieliśmy gdzie mieszkać pojechałam z Mamą do Rabki, gdzie spotkała nas niemiła historia, bo zgłosili się po nią tzw. „chłopcy z lasu” (czy od „Ognia”), bo uznali ją prawdopodobnie za Żydówkę. Na szczęście właściciele pensjonatu *Salwator*, gdzie mieszkaliśmy – byli ziemianie spod Wilna Mecherzyńscy i Oskierkowie, kazali nam się zamknąć w pokoju (ja włożyłam pod łóżko „dla bezpieczeństwa”), a następnie poinformowali „chłopców z lasu”, że już wyjechałyśmy, włączyli w nich odpowiednią ilość spirytusu i ci sobie poszli. Tak więc dzięki wódce nie zostałam sierotą.

Nastąpiła wreszcie stabilizacja i ku mojemu wielkiemu zdziwieniu rozpakowaliśmy walizki i nie była już przewidziana żadna dalsza wędrówka.



Roman Krzysztofowicz (1909-1991)

Zamieszkaliśmy na tzw. Osiedlu Oficerskim w Krakowie. Poszłam do szkoły sióstr Urszulanek. Tato rozpoczął pracę. Mama zajmowała się domem.

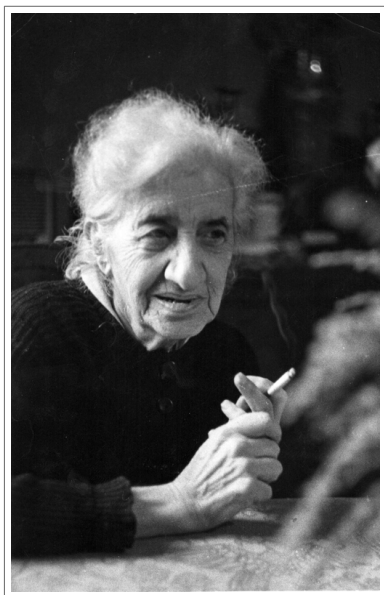
Zaczął się też nowe życie w nowej sytuacji. Trzeba było uczyć się wszystkiego od początku, Roman zaczął pracować w Fabryce Kartonaży przy Placu na Groblach w Krakowie, w której Marian miał swoje dość spore udziały. Ale nacjonalizacja w latach pięćdziesiątych połączona z całkowitą ich stratą, łącznie z obligacjami i kontem bankowym, znowu zmieniła drogę Romana. Obciążony fatalnym pochodzeniem tak zwanego „bezeta” czyli byłego ziemianina, miał się każdej pracy administracyjnej, zyskując miano tak zwanej „inteligencji pracującej”. Zaczął pracować w Centrali Rybnej w Pałacu Krzysztofory. Wówczas też miał przyjemność kontaktu z pracownikiem SB. Miejscem spotkania był hotel przy ul. Szpitalnej. Rozpoczęło się od sakramentalnych słów: „Wiemy kim pan jest”. Wyliczył ilość morgów, które nota bene nie należały do Romana tylko do jego ojca. Znany był nawet epizod, iż w czasie wojny ojciec był przez moment we dworze w Jasienowie Polnym, a następnie padła propozycja donoszenia. Po trzech godzinach trzymania w zamknięciu w pokoju hotelowym SB-ek powrócił, i wówczas ojciec wygłosił znakomity wykręt: „Muszę się zapytać żony i spowiednika, co zrobić z taką propozycją”. Natychmiast został wyrzucony za drzwi z epitetem „ale jesteś baba”. Ale spokój już był na zawsze.



**Franciszka z Bohdanowiczów
Krzysztofowiczowa (1910-1991)**

Po tym epizodzie przeszedł ojciec do pracy do Instytutu Zootechniki, już jako inżynier rolnik, którego dyrektorem był wspaniały człowiek – profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego Teodor Marchlewski, kuzyn „tego” Marchlewskiego, który dzięki swojej pozycji był w stanie w tymże Instytucie stworzyć azyl wielu osobom z fatalnym pochodzeniem – głównie byłym ziemianom, których w czasach najgorszych wspaniale chronił i dawał pracę. Po latach przeszedł do Instytutu Botaniki PAN, gdzie pracował do emerytury, i wówczas rozpoczął kolejny etap w swoim życiu – pracę rzeczoznawcy do spraw rolnictwa przy Sądzie Okręgowym w Krakowie.

W latach pracy w Instytucie Botaniki „zmechanizował” się i sprawił sobie auto zwane *velorexem*. Był to trójkołowiec kryty brezentem i zapinany na zatrzaski. Szczęśliwy po tym zakupie wygłosił wiekopomne zdanie: „Nigdy nie przypuszczałem, że w komunizmie będę mieć samochód”, a był to samochód, który kiedyś studenci w czasie Juwenaliów podnosili z wielkim hurrra do góry, razem z moimi Rodzicami. Następne samochody to były kolejne Trabanty – „najlepsze – jak twierdził Tata – auta na świecie”.



**Maria z Passakasów
Krzysztofowiczowa (1888-1973)**

Tata był człowiekiem pełnym entuzjazmu do wszystkiego i do wszystkich, niezwykle życzliwym ludziom, uwielbiającym coś komuś załatwić, co zresztą robił w różnych okresach PRL-u i to zawsze skutecznie. Nigdy nie skarżył się na taki czy inny los, zawsze było „znakomicie”, bo mogło by być gorzej, i to znacznie gorzej.

Mama, która nie miała żadnego wyuczonego zawodu, choć bardzo po wojnie chciała studiować romanistykę, miała się różnych dziwnych prac, między innymi szyła krawaty. Ostatecznie zapisała się na kurs bibliotekarstwa i pełna entuzjazmu pracowała, aż do emerytury w bibliotece

dzielnicowej w Nowej Hucie. Zachwycona faktem niesienia kaganka oświaty do podkrakowskich wsi zyskała miano „czerwonej Krzysztofowiczowej”. W czasie wyprawy do swojej przyjaciółki do Londynu, która pracowała w bibliotece w Instytucie Sikorskiego pochwaliła się pracą w Nowej Hucie, co spowodowało konsternację jej rozmówców. Dużo też czytała, chętnie kryminały francuskie.

Świetnie pamiętam pierwsze lata powojenne i styl życia moich rodziców. Praca była mało znaczącym marginesem, za to było dużo zabawy, dancingów, masa gości w domu podejmowanych najczęściej herbatą, wiele wspomnień i ogólny nastrój wesołości. Pamiętam, jak zbudziła mnie w nocy muzyka i okazało się, że nasze niewielkie mieszkanie pełne jest gości. Byli to przede wszystkim ludzie ze środowiska moich rodziców, tak zwani „bezeci” czyli byli ziemianie, którzy wszystko stracili, więc się bawili. Czasem wspominali wesołe przedwojenne epizody, wymieniali się doświadczeniami rolnymi, opowiadali o polowaniach, balach, koligacjach.

Wspomnienia czasów przedwojennych zbyt długo nie absorbowwały moich rodziców. W końcu życie biegło do przodu, pewna część historii minęła. Dziadek Marian, który w efekcie wojny najwięcej stracił – bo dorobek całego swojego długiego życia, przewidywał taki właśnie obrót historii. Uważał bowiem, że podział etniczny na Kresach nie wróżył niczego dobrego, zwłaszcza podział na wieś ukraińską i dwory polskie. A miał on olbrzymie doświadczenie, przeżył całe swoje życie na Kresach, na tak zwanym Pokuciu, przeżył pierwszą wojnę światową pilnując dobytku w swoim majątku w Jasienowie Polnym (żonę i dwóch synów wywiózł do Wiednia), przeżył jego odbudowę w okresie międzywojennym. Byłam też zawsze pełna podziwu dla Babci zwanej Muchą, osoby która nigdy, absolutnie nigdy na nic się nie skarżyła, a życie zmieniło się Jej diametralnie, a pod koniec życia traciła wzrok. Mieszkała w koszmarnym mieszkaniu przy ulicy Świerczewskiego w Krakowie (obecna Studencka).

I tak wśród tych tematów i wspomnień biegło moje dziecinne życie. Mieszkaliśmy przy ulicy Kieleckiej na Osiedlu Oficerskim w Krakowie i ta też ulica stała się miejscem najwspanialszych zabaw.

Szkółę traktowałam jako dopust Boży. Była to szkoła podstawowa prowadzona przez siostry Urszulanki w Krakowie przy ulicy Starowiśniej. Zapamiętałam tygodniowe rekolekcje wielkopostne i robienie szalików na drutach, spotkania u koleżanek, a przede wszystkim kontakty towarzyskie pozaszkolne. Pierwszy problem powstał po skończeniu klasztornej szkoły podstawowej, a był to rok 1952. Pomógł niezastąpiony profesor Teodor Marchlewski i dostałam się do renomowanego liceum im. Joteyki, warunkiem było zapisanie się do ZMP. Pragmatyzm zwyciężył i miałam czerwony krawat. Wtedy też nauczyłam się, że nie wolno mówić w szkole tego, co się słyszy w domu. Powstał kolejny problem, co robić po maturze. Rodzice optowali za rolnictwem, ale ostatecznie zaczęłam studia z historii sztuki na UJ, by potem pracować w Biurze Wystaw Artystycznych w Krakowie, a następnie w Muzeum Narodowym w Krakowie.

Niezwykły człowiek – niezwykle życie²

W czerwcu 2010 roku zmarł w Yamhill w Stanie Oregon w wieku 91 lat niezwykle Człowiek, który miał za sobą niezwykle życie – Władysław Krzysztofowicz nazywany familiarnie Sławkiem, który po przeprowadzce do Stanów Zjednoczonych zmienił nazwisko na Ladis Kristof. We wrześniu 2009 roku spędziliśmy na urokliwym ranczo w Yamhill w stanie Oregon wiele wspaniałych godzin na rozmowach, wspomnieniach, oglądaniu starych fotografii.

Ladis Kristof pochodził ze spolszczonej starej ormiańskiej rodziny, a losy jego kształtowała bezwzględna historia polskich kresów



Pasją Marii (Litki) Krzysztofowicz były konie

2 Tekst napisany został dla amerykańskiej rodziny Władysława (Sławka) Krzysztofowicza.

będących od wieków polem nieustających bitew i politycznych przetasowań. Urodził się w 1918 roku w Karapczyjowie w rodzinie Witolda i Marii Krzysztofowiczów. W dzieciństwie wychowywały jego oraz jego siostrę i brata bony, fraulein uczyła niemieckiego, mademoiselle – francuskiego. Do gimnazjum chodził w Buczaczu i we Lwowie, zaś w 1937 roku rozpoczął studia na Wydziale Leśnym na Uniwersytecie w Poznaniu. Gdy wybuchła 1 września 1939 roku druga wojna światowa, Rumunia współdziałała z hitlerowskimi Niemcami, a Bukowina była dwukrotnie zajmowana przez wojska sowieckie. Kris jako obywatel rumuński został powołany do wojska i w 1942 roku wyjechał wraz ze swoim oddziałem w kierunku Stalingradu. Jego oddział zatrzymał się na linii Donu koło Roztoka, skąd Kris kilkakrotnie przewoził do Rumunii tajne raporty. W ciężkim stanie zdrowia wrócił pod koniec 1942 roku do Karapczyjowa. Historia dalej jednak dyktuje ludzkie losy. W dniu 26 marca 1944 roku opuścił Kris jako ostatni rodzinny Karapczyjów, zabierając dwie fury rzeczy, dwie pary koni, pięknego ogiera siostry Litki, dubeltówkę. Rodzice i rodzeństwo byli już wówczas w Craiovej w Rumunii. Tam też przyjechał Kris po 6 tygodniach podróży, między innymi przez Karpaty. Tak też zaczęła się niezwykła życiowa peregrynacja Krisa, która przywiodła go do pięknego Oregonu.

Po wojnie pozostał wraz z siostrą Litką w Craiovej, rodzice natomiast i brat Janusz wrócili do Polski i osiedli w Cieszyźnie. Litka pozostała w Craiovej, pod koniec lat pięćdziesiątych wyjechała do Polski jednak szybko wyemigrowała do Kanady. Kris nie mający zaufania do nowego reżimu rumuńskiego, zaplanował wyjazd na Zachód.



**Władysław (Sławek)
Krzysztofowicz, 2007**

Ostatecznie w lipcu 1948 roku przepłynął wpław Dunaj. Oczywiście natychmiast trafił do więzienia jugosłowiańskiego, następnie pracował w obozie przy wydobywaniu azbestu. Po trzech latach ciężkiej fizycznej pracy wyjechał via obóz angloamerykański we Włoszech do Paryża. Planowane studia skończyły się jednak na dwuletniej pracy „na stanowisku” lokaja u pochodzącej z Oregonu młodej Amerykanki. Jej środowisko ułatwiło Krisowi emigrację do Stanów Zjednoczonych. W 1953 roku popłynął statkiem do Stanów Zjednoczonych, statek miał dwutygodniową przerwę na remont w Szkocji. W biurze emigracyjnym w Nowym Jorku – był, dzięki przyjaciołom z Oregonu na „odpowiedniej” liście, dostał bilet do Portland, dokąd jechał z Nowego Jorku pociągiem 4 dni.

W tym momencie zaczyna się kolejny, nowy „amerykański” etap życia Krisa. Podejmuje pracę w Oregonie przy trasowaniu nowej drogi w lesie i wysadzaniu dynamitem ogromnych korzeni. Celem jednak są studia, które rozpoczął dzięki prywatnemu stypendium po roku pracy w lesie, w Reed College w Portland – politologia. Następny etap to doktorat (master) o rosyjskich mienszewikach przygotowany na uniwersytecie w Chicago. Tam też poznał doktorantkę historii sztuki Jane McWilliams, Irlandkę z pochodzenia, z którą wziął ślub. Następnie już razem wyjechali do Nowego Jorku, gdzie Kris badał w dalszym ciągu archiwalia mienszewików, tam też przyszedł na świat ich jedyny syn Nicholas. Kolejny etap to Santa Clara University i Columbia University, wyjazd do Kanady i trzyletni pobyt na University of Waterloo. Kolejny i ostatni etap życia Krisa to Uniwersytet w Portland, gdzie prowadził wykłady na temat polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych, analiz porównawczych systemów politycznych Stanów Zjednoczonych, Francji, Anglii, Związku Radzieckiego. Interesował się geopolityką Rumunii, Ukrainy, Bałkanów, a także filozofią Carla Gustava Junga, a nade wszystko Pierre’a Teilharda de Chardin, któremu poświęcił cykl wykładów. Stopniowo Kris stał się jednym z najbardziej cenionych specjalistów od geopolityki, chętnie zapraszany na międzynarodowe konferencje w Moskwie, Bukareszcie, Paryżu, w Anglii i w Japonii. Ciekawy świata wiele podróżował, między innymi pokonał niezwykle dla obco-krajowców trasę Władywostok-Moskwa.

Przyjazd Krisa z Jane i małym Nicholasem do Portland łączył się z kolejną decyzją – zakup, obciążający na 30 lat spłat skromne pensje uniwersyteckie, farmy: domu i około 100 hektarów lasu i ziemi, gdzie założyli sad wiśniowy. Odległość 30 mil z Yamhill do Portland przez następnych kilkadziesiąt lat pokonywali dzień w dzień.

Dom Jane i Krisa był niezwykle, jak jego mieszkańcy. Najważniejsza była licząca przeszło 20.000 tomów biblioteka, żarto-



Pozostałości dworu Krzysztofowiczów w Jasienowie Polnym, 1999

bliwie zwana przez Krisa „biblioteką w lesie”, wielojęzyczna i o wielu profilach zainteresowania jej właściciela. Do końca też życia pozostał wierny swojemu młodzieńczemu hobby – polowaniu. Tak jak polował jako bardzo młody chłopak na Bukowinie, polował też i w lasach Oregonu. Potrafił też godzinami czekać na rogacza na przydomowej polance, w czym wielokrotnie przeszkadzały ukochane psy.

Jane zachowała swoje zainteresowania i stała się jedną z najwyżej cenionych wykładowców nowożytniej europejskiej historii sztuki na Uniwersytecie w Portland. Miałam okazję usłyszeć opinię: „the best of the best”. Wielką też karierę zrobił ich syn Nicholas, który ukończył skromną szkołę w Yamhill, by następnie studiować

na Harvardzie i w angielskim Oxfordzie i stać się jednym z najbardziej popularnych dziennikarzy „New York Time”, dwukrotnym laureatem, wspólnie z żoną Sheryl WuDunn, nagrody Pulitzera. W 2022 roku ukazała się w Polsce książka Nicholasa Kristofa napisana wspólnie z jego żoną Sheryl Wudunn: *Biedni w bogatym kraju. Przebudzenie z amerykańskiego snu* (Wydawnictwo Czarne).

W Stanach Zjednoczonych mieszka też syn Janusza Krzysztofowicza, brata Sławka – Roman Krzysztofowicz, ożeniony z Ormianką robi karierę naukową w Charlottesville, drugi syn Janusza Zbigniew mieszka w Polsce, współpracuje z Fundacją Siostry Chmielewskiej.

Czy można uciec od korzeni?

Gdy w 1999 roku jechałam po raz pierwszy na Kresy, wygłosiłam do moich współtowarzyszy wyprawę teorię, iż jadę w rodzinne strony wolna od jakichkolwiek sentymentów. Nie znałam tamtych stron przed wojną (jestem rocznikiem 1939), moi Rodzice nie żyli specjalnie przedwojennymi wspomnieniami. Wydawało mi się, że będę biernym, obiektywnym obserwatorem. Czas pokazał jak bardzo się myliłam. Lwów odebrałam jako piękne miasto ze wspnianymi zabytkami – katedrę ormiańską, jeszcze wtedy udostępnianą we fragmencie, jako miejsce ślubu moich rodziców. Reszta trasy – cóż, wydawało mi się, że będzie to jeszcze jedna atrakcja turystyczna.

Pewien niepokój poczułam w Zaleszczykach – przecież to było ważne towarzystwo miejsce, tam jeździli Rodzice na dancingi. W Zaleszczykach wynajęliśmy z kuzynem mego ojca Januszem Krzysztofowiczem samochód i wyruszyliśmy w trasę „Krzysztofowiczowskich dworów”. Najpierw był Jasienów Polny, majątek mego dziadka Mariana, gdzie też mieszkali do wojny moi Rodzice i gdzie się urodziłam. Spotkana w polu kukurydzy kobieta powiedziała, że świetnie pamięta moją rodzinę i jak się przedstawiłam – padłyśmy sobie w ramiona i... łyzy pociekły. Dwór jasienowski zrobił na mnie wrażenie smutne: bez wspaniałego parku, bez stawów hodowlanych, bez drewnianej werandy, z wesołą drewnianą sławojką bez drzwi tuż



Dawny dwór Alfreda Krzysztofowicza w Karapczyowie, 1999



Dawny dwór Witolda Krzysztofowicza w Karapczyowie, 1999



Fasada dworu Henryka Krzysztofowicza w Załuczu, 1999

przed domem (choć był przed wojną skanalizowany) – ponuro przebudowany, stał na pustkowiu, jakiś taki bez duszy. Lecz duszę znalazłam. Po obejrzeniu bez jakichkolwiek problemów całego domu, zostaliśmy zaproszeni do piwnicy, gdzie ugoszczono nas samogonem i chlebem z miodem. Gdy po godzinie rozmowy dziękowałam za gościnę usłyszałam: „Ty nie masz za co dziękować, ty jesteś przecież u siebie”.

Potem wyruszyliśmy w dalszą trasę: do Załucza Henryka Krzysztofowicza i do Karapczyjowa Alfreda i Witolda Krzysztofowiczów. Na kolejnym spotkaniu z moimi współtowarzyszami wyprawy kresowej sprostowałam moją wcześniejszą opinię: nie można uciec od korzeni, one tkwią w człowieku. Od tego czasu na Kresach byłam wielokrotnie, zwłaszcza we Lwowie, który jest miastem gdzie mogłabym zamieszkać na stałe. Do Jasienowa już nie dojechałam, ale za to była tam moja córka – Urszula.

Fotografie pochodzą ze zbiorów
Stefanii Krzysztofowicz-Kozakowskiej.

O Ormianach i sztuce

Wywiad z Stefanią Krzysztofowicz-Kozakowską

Rozmawiał Tomasz Krzyżowski

Proszę opowiedzieć o swoim dzieciństwie.

Urodziłam się w Jasienowie Polnym w 1939 roku w rodzinie ormiańskiej. We wrześniu cała moja rodzina: rodzice, dziadkowie, stryj uciekają – bo inaczej tego nie można nazwać – do Rumunii. Przez chwilę zatrzymaliśmy się w Karapczyjowie u Alfredów Krzysztofowiczów, potem pojechaliśmy do Oszechlib, gdzie znajdowała się resztówka mojej mamy. Dwukrotnie uciekaliśmy z Oszechlib przed Armią Czerwoną. W 1944 roku przenieśliśmy się do Craiovej. Tam się zaczyna właściwie moje dzieciństwo takie bardziej towarzyskie. W Craiovej poszłam do szkoły klasztornej i właściwie w ciągu roku zostałam wychowana na patriotkę rumuńską, która modliła się za króla Michała I, codziennie po rumuńsku odmawiałam krótką modlitwę w jego intencji. Kiedy w 1946 roku rodzice zdecydowali się na wyjazd do Polski, to ja nie chciałam jechać, bo czułam się związana z Rumunią. Do Krakowa jechaliśmy trzy tygodnie w bydłowych wagonach pociągiem z Bukaresztu. W jednym wagonie zebrała się cała nasza rodzina. W czerwcu 1946 roku dotarliśmy na miejsce. Dziadkowie i rodzice wybrali Kraków, dlatego że mój dziadek miał udziały w fabryce przy placu na Groblach, w związku z tym była jakaś perspektywa pracy. Poza tym, w Krakowie mieszkała siostra mojego dziadka Maria Kalinkowa, więc był jakiś punkt zaczepienia. Uczęszczałam do szkoły sióstr urszulanek w Krakowie, bo moja mama miała obsesję na punkcie szkół klasztornych. Nie miałam żadnego sentymentu do tej szkoły. Potem pojawił się problem z dostaniem się do liceum, bo mnie cały czas obciążał fakt pochodzenia ze środowiska tzw. inteligencji pracującej. Było to dosyć skomplikowane. Przy czym moi rodzice mieli początkowo pomysł,

żebym poszła do technikum rolniczego w Czernichowie, potem proponowali żeby poszła do liceum w Polskiej Wsi prowadzonej przez siostry Sacre Coeur. Ja się na te propozycje zbuntowałam, bo chciałam chodzić do szkoły ogólnokształcącej. Na Podwalu była szkoła im. Joteyki, ale pojawił się problem, że ja jestem ze środowiska inteligencji pracującej. Z pomocą przyszedł nam prof. Teodor Marchlewski, który był szefem mojego ojca w Instytucie Zootechniki. Wystarczył jeden telefon do pani dyrektor. Po tym telefonie ona zaraz przyjęła mnie do pierwszej klasy Liceum Ogólnokształcącego im. Joteyki w Krakowie.



dr Stefania Krzysztofowicz-Kozakowska

Potem studiowała Pani historię sztuki.

Tak to sobie wymyśliłam. Była brana pod uwagę architektura, ale skończyło się na historii sztuki i rzeczywiście w to środowisko udało mi się dobrze wejść, zaprzyjaźnić, i właściwie te przyjaźnie trwają do dzisiaj. Byłam uczennicą prof. Karola Estreichera, bardzo kontrowersyjnej postaci, strasznego buntownika, by nie powiedzieć awanturnika. Ale dobrze wkomponowałam się w jego sposób

myślenia, u niego zrobiłam pracę magisterską. Potem wyjechałam na pół roku do Francji, gdzie stałam, że tak powiem, na zmywaku, ale jakoś się udało. Jeśli chodzi o pracę zawodową to rozpoczęłam ją w Biurze Wystaw Artystycznych, które mieściło się w Bunkrze Sztuki przy Plantach. To była znakomita szkoła życia, nauki sztuki współczesnej, ponieważ to była instytucja, zajmująca się sztuką najnowszą, która organizowała m.in. międzynarodowe biennale grafiki. Wszłam w to środowisko, poznałam masę ważnych, znakomitych ludzi, artystów, z którymi do dzisiaj utrzymuję kontakt. Wspaniałą szkołą życia była współpraca, wtedy byłam już w zasadzie takim pomagierem przy organizowaniu międzynarodowego biennale grafiki, zajmowałam się przyjmowaniem prac z całego świata, segregowaniem, przygotowywaniem, pokazywaniem jury itd. Był to bardzo dobry start zawodowy.

Potem wymyśliłam, żeby robić doktorat. Tutaj zaczęły się już schody, bo niechętnie widziano robienie doktoratu w Biurze Wystaw Artystycznych. Ale jakoś przełamałam opór i jak już oddałam pracę, to udało mi się przejść do Muzeum Narodowego w Krakowie do działu sztuki współczesnej. Obroniłam doktorat pracując już w Muzeum Narodowym. Ponad dwadzieścia lat pracowałam w muzeum, z którym jestem do dziś związana emocjonalnie, a moja córka Urszula kontynuuje teraz w muzeum tę „tradycję rodzinną”.

Jakiego zagadnienia dotyczył doktorat?

Wpływ sztuki ludowej na polską sztukę dwudziestolecia międzywojennego. Właściwie zaraz po studiach zaczęłam się zajmować sztuką ludową: malarstwem i rzeźbą. Udało mi się, nawet przez przypadek, wydać książkę na temat polskiej sztuki ludowej, która była jedną z pierwszych książek całościowo omawiających twórczość: malarstwo, rzeźbę, tkaniny. Muszę przyznać, że mi się udało, że tak wystartowałam. Potem wykorzystałam doświadczenia ze sztuką ludową i popracowałam nad sztuką dwudziestolecia

międzywojennego, żeby zrelacjonować i połączyć te dwa problemy badawcze: sztuki ludowej i inspiracji sztuką ludową w dwudziestolecie, która była niesłychanie silna i bardzo efektowna. Była bardzo wyrazista dla polskiej sztuki, gdyż dotyczyła zarówno malarstwa, grafiki – to wszystko pozostawało pod wpływem i w inspiracji ze sztuką ludową.

Przez wiele lat pracowała Pani w Muzeum Narodowym, czym się Pani dokładnie zajmowała?

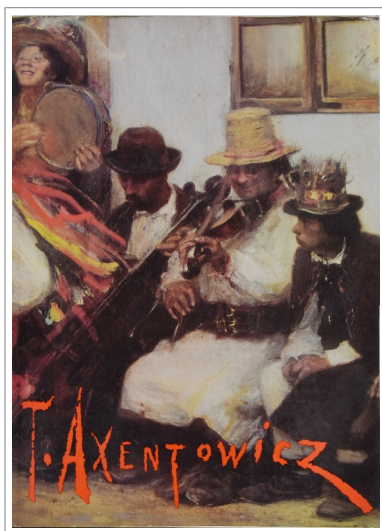
Przede wszystkim zajmowałam się opracowywaniem zbiorów. Z koleżanką Barbarą Małkiewicz wydałyśmy dwa tomy katalogu zbiorów Muzeum Narodowego obejmujących sztukę Młodej Polski i dwudziestolecie międzywojenne, a następnie sztukę współczesną. Najsympatyczniejszą sprawą w muzeum było przygotowywanie wystaw. Cały problem polegał na tym, żeby wymyśleć jakiś chwytliwy temat. Udało mi się kilka razy zaproponować wystawy, które natychmiast zostały przyjęte. Przede wszystkim wystawa sztuki art deco, czyli głównie rzemiosło artystyczne, plakaty, ilustracje, które po roku 1925 zalały świat. Art deco narodziło się w Paryżu potem też dotarło do Polski. Trochę podpadłam warszawskim badaczom, którzy nie zdążyli zorganizować wystawy, a ja przygotowałam ekspozycję i opracowałam katalog. Drugą wystawą, która mi przyniosła ogromną satysfakcję to była ekspozycja *Między Giewontem a Parnasem*. Była to prezentacja środowiska zakopiańskiego młodopolskiego i międzywojennego, które pozostawało w bardzo silnym związku ze środowiskiem krakowskim. Artyści krakowscy odwiedzali Zakopane, które fascynowało tamtejszym folklorem i sztuką ludową. Te wzajemne relacje były niesłychanie efektowne i ekspozycyjnie ciekawe. Zaczęło się od fascynacji malarstwem na szkle niby podhalańskim, które nie było bynajmniej malarstwem podhalańskim tylko sprowadzanym z Bawarii. W każdym razie ono zafascynowało artystów profesjonalistów. Potem nastąpiło „odkrycie” drewnianej rzeźby ludowej i wprowadzenie jej jako

przedmiotu do zakopiańskiej szkoły artystycznej, późniejszej szkoły Kenara. To była też fascynacja tkaniną, motywami haftu podhalańskiego, meblami, wreszcie architekturą, której najlepszym przykładem jest willa *Pod Jedłami* w Zakopanem. Temat okazał się bardzo wystawienniczo efektowny i bardzo sympatyczny do opracowywania.

Jest Pani również autorką wystawy poświęconej Teodorowi Axentowiczowi. Proszę opowiedzieć o okolicznościach jej zorganizowania.

Po wystawie poświęconej Towarzystwu Artystów Polskich *Sztuka* zostałam namówiona przez pana Axentowicza, ale nie tego związanego bezpośrednio z rodziną artysty, że należałoby zorganizować wystawę Teodora Axentowicza. I tak się zaczęło. Nawiązałam kontakt z Adamem Kieniewiczem i ruszyliśmy z pracą nad wystawą monograficzną, która była niesłychanie interesująca i pouczająca. Przede wszystkim pan Kieniewicz opracował bardzo ciekawie curriculum vitae Axentowicza, wyciągnął z kilku szuflad w kredensie w przedpokoju archiwalia rodzinne i bardzo dużo zdjęć. Było to zatem wyprowadzenie z zapomnienia i wyeksponowanie na nowo Teodora Axentowicza na parniasie artystycznym.

Kilkakrotnie organizowałam też w świecie wystawy sztuki Młodej Polski. Pierwszą wystawę o tej tematyce zrobiłam w Moskwie. Przy otwarciu wystawy było zamieszanie, dlatego, że rosyjscy



Teodor Axentowicz 1859-1938
katalog wystawy

organizatorzy zrozumieli Młodą Polskę jako sztukę młodzieżową. Myśleli, że chodzi o młode, współczesne pokolenie, dlatego była swego rodzaju konsternacja. Przeżyłam tam drobny szok, bo „opiekowała” się mną starsza pani, kiedyś związana z tym muzeum moskiewskim, która była niesłychanie czujna w stosunku do mojej osoby. Planowałam wyprawę do Zagorska i wtedy przestrzegli mnie pracownicy muzealni, żeby jej o tym nie mówić. Jeszcze zabawniej było na otwarciu wystawy. W pewnym momencie ta pani zwróciła się do mnie ze słowami: chciałam pani przedstawić zacnego pana, który znał Dzierżyńskiego, o którym on powiedział, że: To był bardzo sympatyczny człowiek. Postanowiłam sama konwojować transport z eksponatami z wystawy do Krakowa. Kiedy jechałam tirem była zabawna sytuacja na parkingu, na którym był koksownik i nic więcej. Kiedy odeszłam kilka kroków od samochodu usłyszałam przez megafon, żeby „graždanka” natychmiast wracała do samochodu. Z kolei na granicy przepytana zostałam czy wiozę złoto, zabrali mi puderniczkę myśląc, że tam jest złoto. Ale jakoś przejechałam.

Później zrobiłam też interesującą wystawę Stanisława Witkiewicza w Brukseli. Następnie, też w Brukseli, zorganizowałam niesłychanie ciekawą wystawę, właściwie powtórzenie art deco, tego, co było już w Krakowie. Było to w okresie, kiedy Polska wstępowała do Unii Europejskiej. Wystawa towarzyszyła też innym pokazom artystycznym i literackim. Oprawadzałam po wystawie między innymi premiera Buzka. Została ona znakomicie zaaranżowana w starej kamienicy na Grande Place posiadającej wewnątrz przystosowane do nowoczesnych ekspozycji.

Następnie, jeszcze dwukrotnie przygotowałam wystawę Młodej Polski, a to w Kanadzie, w Vancouverze i w Montrealu. Dla mnie szokiem były wernisaże i tłumy Polaków, którzy przyjechali na otwarcie ekspozycji. To był tłum, przez który nie można było przejść.

Jest Pani autorką wielu książek popularyzujących sztukę. Jedną z nich: *Historia malarstwa polskiego* dobrze pamiętam, bo chodząc do liceum uczyłem się z niej. Ale były też inne pozycje.

Jeszcze przed przejściem na emeryturę zostałam namówiona przez wydawnictwo Ryszarda Kluszczyńskiego do przygotowania dużego albumu o Młodej Polsce. Ten album nosił potem złośliwy tytuł *Pięć kilo Młodej Polski*; był to gigantyczny album z ogromną ilością wspaniałych reprodukcji. Właściwie tak się zaczęło moje nowe życie, już nie wystawowe, tylko pisanie o sztuce. I stało się to – muszę się przyznać – moją pasją, zupełną obsesją, żeby pisać. Także u pana Kluszczyńskiego wydałam kilka innych książek, m.in. obszerny album o Jacku Malczewskim, o Ferdynandzie Ruszczycu. Pojechaliśmy też do Lwowa i tam sfotografowaliśmy kolekcję lwowską – na bazie tego powstał tom *Sztuka polska w obcych zbiorach*. Potem była druga, mniejsza wersja albumu o Młodej Polsce, z większym tekstem. To był, że tak powiem, mój start do pisania. I tak zostało do dzisiaj. Aktualnie współpracuję z wydawnictwem BOSZ, które rezyduje w Lesku, i ma ambicję wydawania bardzo pięknie edytorsko przygotowanych książek adresowanych do szerokiego czytelnika; nie są to analizy naukowe, choć przygotowane w oparciu o materiały źródłowe. W BOSZ-u wydałam kilka książek, między innymi niewielki w formacie album o Teodorze Axentowiczu, a także 3-tomową serię. Była to *Sztuka II RP* obejmująca szeroki wachlarz zagadnień: architekturę, malarstwo, plakat, rzemiosło artystyczne, grafikę oraz omówienie aktywności środowiska artystycznego – jakie były ugrupowania, relacje wzajemne między nimi itd. Później zaproponowałam kolejny tom: *Sztuka w czasach PRL* i to była wręcz fascynująca praca, dlatego że w pierwszej kolejności zajęłam się sprawą kreowania tego nowego stylu socrealizmu i całej dyskusji, która się toczyła, a właściwie narzuconych opinii i dyrektyw jak należy tworzyć sztukę. Te różne cytaty różnych ważnych person partyjnych oczywiście były bulwersujące. Potem przeszłam do następnego

etapu, czyli do zaprezentowania nowej polskiej sztuki nowoczesnej po 1956 roku. Doszło do uwolnienia od socrealizmu, jakiś narzut był, że sztuka powinna być realistyczna, ale równocześnie pojawia się bardzo bogata sztuka abstrakcyjna, która była bardzo wygodna dla cenzorów. W *Sztuce PRL-u* zwróciłam uwagę oczywiście na architekturę, w tym architekturę Nowej Huty, która była przygotowywana przez znakomitych architektów i urbanistów. Podobną sytuację znalazłam w Nowych Tychach – znakomicie przemyślana architektura lat pięćdziesiątych. Potem zwróciłam też uwagę na sztukę sakralną. Tak mi się wydaje, że kościoły, które były zaprojektowane w okresie PRL-u w latach siedemdziesiątych, to od tego czasu nie wybudowano już tak dobrych architektonicznie świątyń. Tak jak na przykład Arka w Nowej Hucie, to już tego typu architektury nie ma. Poprzez architekturę, malarstwo, bardzo dobrą rzeźbę, która trafiała do parków, w plener, która została wpisana w architekturę miejską. Znakomite rzemiosło artystyczne, tkactwo, nazwisko Abakanowicz, które weszło na arenę międzynarodową, świetna ceramika z Ćmielowa, wyroby ze srebra. To była sztuka, która pomimo cenzury zostawiła bardzo dobre rzeczy po sobie. W tej książce sporo napisałam też o środowisku artystycznym, choćby o Piwnicy pod Baranami czy innych klubach, które odgrywały olbrzymią rolę w życiu towarzyskim, intelektualnym i kulturalnym społeczeństwa polskiego tamtych czasów.

Potem była kontynuacja?

Ten cykl zamyka *Sztuka po roku 1989*. To jest relacja na temat tego, co dzieje się dzisiaj w sztuce. Podobnie zaczęło się od architektury, tej bardzo efektownej w Warszawie czy akwariów, które powstają wszędzie do dzisiaj. Poprzez architekturę sakralną średnią i różne propozycje architektury willowej. Są to projekty architektoniczne bardzo ciekawe, choć może trudne do zamieszkania. Malarstwo jest w pewnym sensie kontynuacją tego, co było w czasach do 1989 roku. Dołożyłam także nową sztukę – kreowanie

pewnych sytuacji, tworzenie happeningów, które w dużej mierze ludzi denerwowały i prowokowały. Następnie zaczęłam się zajmować skandalami w sztuce. Pierwszy tom to była *Grzeszna cyganeria* opowiadająca o skandalach w środowisku artystycznym okresu dwudziestolecia międzywojennego, z którą to książką nie było absolutnie żadnego problemu. Były to sprawy Witkacego, Żechowskiego, Kossaków – tam nie było jakichś większych problemów z wydaniem, natomiast było opisanych dużo ciekawych sytuacji: mordobicia, pojedynki, wyrzucanie obrazów z wystaw itp. Sprawa impulsywnego reagowania na dzieła sztuki była olbrzymia. W tej chwili bliski wydaniu jest drugi tom poświęcony wręcz szokującym skandalom młodopolskim.

Proszę opowiedzieć o akcentach ormiańskich w Pani pracy naukowej. Była już mowa o wystawie Axentowicza, ale wiem, że zajmowała się też Pani rodziną Stefanowiczów.

Stefanowiczami to zajmuję się teraz; tekst jest po redakcji i trwa akcja zbierania zdjęć prac. Kilka lat temu napisałam tekst, który leżał w szufladzie i postanowiłam go skończyć. Nawiązałam po raz kolejny kontakt z panem Krzysztofem Stefanowiczem i opracowałam twórczość Antoniego i jego syna Kajetana Stefanowiczów. Co ważne, dotarłam do dość dużej ilości obrazów i rysunków, które znalazłam w mniej znanych muzeach, w zbiorach prywatnych, na aukcjach antykwarycznych. Zebrałam kilkadziesiąt prac. Bogatą kolekcję fotografii prac Stefanowiczów przekazał mi Krzysztof Stefanowicz. Są też zdjęcia zapomnianych dekoracji sklepienia Teatru Miejskiego we Lwowie, gdzie fragment namalował Antoni Stefanowicz. Znalazłam też w kolekcji Zamku Królewskiego na Wawelu trzy rysunki, według których zostały zrobione litografie do teki Kajetana Stefanowicza na temat Legionów. To jest bardzo ciekawy zestaw, który obejmuje dziewięć rysunków robionych tuszem ilustracji do różnych piosenek ułańskich. Mam nadzieję, że uda się to pomyślnie opublikować.

SPIS TREŚCI:

- 3 Wstęp
- 5 A. Pisowicz – Howannes Tumanian
- 8 Stanisław Kalinka – Portrety rodzinne. Rodzina Krzysztofowiczów
- 38 Krystyna Wieczffińska-Janicka – Życie codzienne Krzysztofowiczów
w Karapczyjowie nad Czeremoszem.
Wspomnienia siostrzenicy Krzysztofowiczów
– Krystyny z Wieczffińskich Janickiej
- 72 Stefania Krzysztofowicz-Kozakowska – Krzysztofowiczowie.
Między historią a teraźniejszością
- 111 O Ormianach i sztuce. Wywiad z Stefanią Krzysztofowicz-Kozakowską –
Rozmawiał Tomasz Krzyżowski